EVIVA POLONIA!

Gorąca sytuacja pod bramką Zoffa. Główkuje Jerzy Gorgoń. Z numerem szesnastym Grzegorz Lato. W środku Włosi: od lewej Facchetti, Burgnich i Spinosi. Fot. CAF — Jakubowski

Nasi specjalni wysłannicy na X Mistrzostwa Świata red. red. Stefan Grzegorczyk, Antoni Piontek, Tomasz Prażmowski, Mieczysław Szymkowiak relacjonują z RFN

EVIVA POLONIA! Nasi piłkarze w półfinałach X Mistrzostw Świata, w gronie ośmiu najlepszych reprezentacji naszego globu! Jedyny zespół z 16 uczestników, który nie poniósł w I rundzie w eliminacyjnych rozgrywkach grupowych żadnej porażki. Po kapitalnym pojedynku z Argentyną wygranym 3:2, reprezentacja Polski rozgromiła następnie Haiti 7:0, i w ostatnim swoim spotkaniu w grupie IV pokonała wicemistrzów świata Włochów 2:1 — również po świetnie rozegranym meczu.

Na nie zdały się prowokacyjne wystąpienia gazety „Bild Zeitung", ze znanego z antypolskiej postawy koncernu prasowego Springera, która pomawiała naszych piłkarzy Domarskiego i Szymanowskiego o przekroczenie przepisów antydopingowych. Trudno było niektórym pseudofachowcom uwierzyć w tak duże umiejętności i wytrzymałość polskiego zespołu.

Nasi piłkarze zdobyli ogromne uznanie za swoją piękną i skuteczną grę. Teraz czekają ich jeszcze trudniejsze spotkania w grupie półfinałowej B. Przeciwnikami Polaków będą kolejno: SZWECJA, JUGOSŁAWIA i REPUBLIKA FEDERALNA NIEMIEC. Nietatwo będzie wygrać, zwłaszcza z Jugosłowianami i drużyną gospodarzy X Pucharu Świata.

ŻYCZYMY NASZYM REPREZENTANTOM POWODZENIA!

Żeby wszyscy tak jak POLSKA!

NA STADIONACH POLSKI I ŚWIATA
PIŁKA NOŻNA
TYGODNIK • 25 CZERWCA 1974 ROKU • CENA 3 ZŁ NR 26 (69)

FRZYZNAM się, że przed rozpoczęciem mistrzostw awans reprezentacji Polski do puli półfinałowej wydawał mi się mało prawdopodobny. A już zupełnie wątpiłem w możliwość wywalczenia pierwszego miejsca w IV grupie eliminacyjnej. Teraz, gdy pierwszą fazę turnieju mamy za sobą, jej rezultaty wciąż wydają mi się trudne do uwierzenia.

Odniesione we wspaniałym stylu zwycięstwa nad takimi piłkarskimi potęgami jak Argentyna i wicemistrz świata z Meksyku — Włochy, to sukcesy — których wartość jest wręcz niewymierna.

Nasza ekipa wyjeżdżała do Murrhardt pełna obaw, bo forma zespołu w meczach sparringowych była daleka od doskonałej. Jeszcze raz mogliśmy się przekonać, jak złudnym kryterium oceny są spotkania towarzyskie, których stawka jest odwrotnie proporcjonalna do zadań szkoleniowych, jakie mają spełniać.

Gdyby na przykład po meczu z Malagą powiedzieć przeciętnemu kibicowi, że nasz zespół narodowy nie tylko znajdzie się w gronie półfinalistów, ale jako jedyny przejdzie do drugiej rundy bez straty punktu i z najlepszym dorobkiem bramkowym, a dwaj polscy piłkarze uplasują się na czele tabeli strzelców, moglibyśmy się wówczas narazić na jakiś przykry epitet. Tymczasem to, co uważano za niemożliwe, stało się faktem. Reprezentacja Polski jest zespołem, który wzbudził najwięcej sensacji i o którym najwięcej się mówi.

Występom podopiecznych trenerów Kazimierza Górskiego, Jacka Gmocha i Andrzeja Strejlaua poświęcamy wiele miejsca w odrębnych publikacjach. Zajmę się więc może ogólną oceną dotychczasowego przebiegu turnieju.

W zasadzie w eliminacjach nie zanotowaliśmy żadnych większych sensacji, oczywiście o ile nie liczyć tych, jakie sprawiła Polska. Nie uważam bowiem za niespodziankę rezultatu spotkania obydwu drużyn niemieckich. Mimo nie najlepszych początkowo występów, uważałem, że jedenastkę NRD stać na pokonanie gospodarzy turnieju i tak też się stało. Drużyna NRD pokazała do tego naprawdę znakomity futbol i chyba będzie w stanie włączyć się do walki o premiowane medalami miejsca. Fantastycznie grają zwłaszcza obrońcy — całkowicie uniemożliwiający dostęp do własnej bramki, a jednocześnie doskonali w ataku. Bardzo dobre, solidne wrażenie zrobili Holendrzy. Natomiast podobnie jak Włosi spory zawód sprawili piłkarze RFN. Grają mało efektywnie, ich kluczowi zawodnicy Mueller, Overath, a zwłaszcza Beckenbauer są dalecy od szczytowej formy. Swoisty rekord ustanowili Bułgarzy. W swym czwartym kolejnym starcie w Pucharze Świata znowu nie zdołali wygrać ani jednego meczu.

Jeśli chodzi o sposób gry, jaki demonstruje większość drużyn uczestniczących w MŚ, to niestety, trudno znaleźć tu powody do zachwytu. Dominuje futbol wyzuty z polotu, mało kto potrafi znaleźć sposób na szczelną obronę przeciwnika. Tym bardziej cieszy fakt, że do tych nielicznych potrafiących się uporać z najlepszą defensywą należy zespół Polski.

ANTONI PIONTEK

Kapitan reprezentacji Polski Kazimierz Deyna zdobywa drugą bramkę dla naszych barw. Obok Romeo Benetti. Fot. CAF

DZIENNIK EKIPY (2)

PIĄTEK, 14 czerwca

Trochę się przejaśniło, trochę ocieplilo, ale pogoda nadal niepewna. Na szczęście przeziębienia minęły, wszyscy są zdrowi. Jedziemy na boisko. Szesnastka przewidziana na mecz z Argentyną będzie miała trening taktyczny.

Boisko jeszcze nie wyschło po deszczu. Tomaszewski po kostki grzęźnie w błocie, ale Jacek Gmoch jest nieubłagany i strzela raz w lewy raz w prawy róg, zmuszając bramkarza do tarzania się po ziemi. Po kilku minutach bohater z Wembley umazany jest błotem po uszy. Łapie wszystkie strzały. Boka go chyba nie boli.

Za chwilę rzuty rożne. Do bramki wchodzą Szymanowski i Musiał.

— Gdy wychodzisz z bramki to krzycz — mówi Musiał do Tomaszewskiego.

— Więcej w lewo i do przodu — instruuje Deyna Kasperczaka.

Teraz rzuty wolne. Ustawia się mur: Szymanowski, Żmuda, Gorgoń, Gmoch. Gadocha podrywa piłkę z ziemi, a Deyna wali z wolela w światło bramki.

— Jak ręka? — pyta ktoś.

— W porządku — odpowiada Tomaszewski.

Po ćwiczeniach dziennikarze polscy spotykają się z trenerami na konferencji prasowej. Kazimierz Górski podaje skład na jutrzejszy mecz: Tomaszewski — Szymanowski, Żmuda, Gorgoń, Musiał — Kasperczak, Deyna, Maszczyk — Lato, Szarmach, Gadocha; a więc w porównaniu z Wembley trzej nowi: Żmuda, Maszczyk, Szarmach.

DALSZY CIĄG NA STR. 3

BEZ STRATY PUNKTU!

TWARZ sir Alfa Ramseya, byłego opiekuna reprezentacji Anglii, a dziś komentatora brytyjskiej TV, po meczu Polski z Włochami na Neckarstadionie promieniała. Nic dziwnego, bo przecież okazało się dobitnie, jakiej klasy drużyna wyeliminowała pół roku temu jego zespół — Anglię. Bo też w niedzielę po południu aktualny wicemistrz świata, zespół Włoch, przegrał z jedenastką biało-czerwonych w sposób absolutnie bezdyskusyjny, taka jest zresztą opinia i zagranicznych dziennikarzy i obserwatorów.

— Calcio to jest śmierć futbolu, Polska jego przyszłością! — tak mówiono na trybunach prasowych, a chyba i nie tylko...

Przed widownią Neckarstadionu, której olbrzymią większość stanowili przybyli specjalnie na ten mecz Włosi, w tropikalnym upale, jedenastka Polski dała pokaz nowoczesnej gry. Bądźmy szczerzy, wynik 2:1 jest bardzo szczęśliwy dla drużyny naszych rywali.

Polska drużyna miała tylko dwa krótkie, słabsze okresy gry. Przez pierwszy kwadrans gry oraz w końcowych kilkunastu minutach, podczas których nasza obrona robiła wrażenie zdekoncentrowanej — w pozostałym okresie, czyli przez ponad godzinę, zespół Polski demonstrował urozmaiconą, pomysłową grę, za którą zbierał brawa całego stadionu, nawet kibiców włoskich.

Polska jako jedyna drużyna bez straty punktu zakwalifikowała się do następnej rundy. Szarmach prowadzi na liście strzelców, nasz zespół legitymuje się największą liczbą strzelonych bramek. Według opinii znawców zaprezentowaliśmy najbardziej błyskotliwie i najnowocześniej grający zespół turnieju.

I, jak dotąd, chyba nie ma w tym przesady. Zresztą, potwierdził to i niedzielny mecz na Neckarstadionie.

Nasza drużyna doskonale wykonała ustalony poprzednio plan batalii. Zakładał on wykorzystanie wyuczonych i opanowanych zagrań, uwzględniał, że Włosi raczej celowo w pewnych okresach gry oddadzą pole i piłkę, aby potem skutecznie kontratakować. Przewidywania te okazały się słuszne. W przeciwieństwie do meczu z Argentyną, plan nie zakładał krycia indywidualnego. Jedynym wyjątkiem był Władysław Żmuda, który otrzymał polecenie indywidualnego krycia Chinaglii, dzięki czemu ten ostatni został niemal całkowicie wyłączony z gry przez naszego młodego reprezentanta. Z niewiele lepszym efektem poczynał sobie w drugiej części Boninsegna. Po pierwszych przeciętnych piętnastu minutach, biało-czerwoni, potem już znakomicie dysponowani, rozgrywali piłkę w dobrze przygotowanym, pozycyjnym ataku, by następnie zaskakiwać przeciwników szybkimi akcjami po flankach i strzałami. **Efektem tego były dwie wspaniałe bramki — SZARMACHA i DEYNY — obie po akcjach Henryka Kasperczaka.**

Po przerwie oczekiwaliśmy falowych ataków przeciwnika, dla którego była to jedyna szansa. Ale Włosi nie uczynili tego, chyba z dwóch powodów: po pierwsze nie potrafią tak grać, przez lata przyzwyczaili się tylko do kontrataków, po drugie zaś — że przez następne kilkadziesiąt minut Polacy panowali niepodzielnie na boisku. Nasi „grali, jak chcieli". Posiadacze tytułu wicemistrza świata robili wrażenie zupełnie „pogubionych". Dopiero w końcówce Włosi rzucili się do szaleńczego, desperackiego ataku.

Słowem plan gry polskiego zespołu został wykonany z nawiązką. W naszej zwycięskiej drużynie nie było słabych punktów. **Trzeba stwierdzić, że wprost koncertowo grała linia pomocy. Znakomity, wspaniały mecz rozegrał Henryk KASPERCZAK; był jednym z najlepszych zawodników na boisku. Ogólny zachwyt wzbudził polski „król środka pola", kapitan naszego zespołu — Kazimierz Deyna,** którego talent i możliwości rozkwitły na tle, wydawałoby się, znacznie bardziej od niego renomowanych piłkarzy. Tak samo, jak poprzednio, bezbłędnie grał Maszczyk. W rezultacie, jeszcze podczas meczu, nam, polskim dziennikarzom mówiono, że takiej linii pomocy może nam pozazdrościć każdy zespół.

Prawie tak samo dobrze spisywała się linia ataku. Każdy z polskich napastników przedstawiał sobą nieustanne zagrożenie dla Dino Zoffa. Niewątpliwie spośród napastników na pierwszą lokatę zasłużył sobie **Andrzej SZARMACH**, choćby za swoją bojowość i wspaniałą bramkę, która miała olbrzymi wpływ na dalszy przebieg spotkania. Gadocha chyba rozegrał jeszcze lepszy mecz niż poprzednio. Lato — mimo że pilnowany przez samego Facchettiego — dawał raz po raz próbki swych olbrzymich możliwości, wygrywając z nim nawet pojedynki o górne piłki.

W obronie znakomicie prezentował się Szymanowski, podobnie Żmuda, a także Gorgoń i Musiał wykazali wyraźną poprawę formy. Ale jako całość nasza linia obrony wykazuje jeszcze pewne braki taktyczne. Tomaszewski zaczął niepewnie, ale w miarę upływu czasu rozgrzał się, a potem potwierdził opinię bramkarza „bohatera z Wembley".

Próby Włochów rozwijania akcji z kontrataków nie na wiele się zdały. Gra naszego zespołu wybiła ich z koncepcji.

I tak przeszliśmy do półfinałowych rozgrywek, gdzie czekają drużynę Polski znacznie trudniejsze zadania. Przeciwnicy będą jeszcze silniejsi!

MIECZYSŁAW SZYMKOWIAK

POLSKA — WŁOCHY 2:1 (2:0)

1:0 — Szarmach (39), 2:0 — Deyna (44), 2:1 — Capello (86). Sędziował: Weyland (RFN).

POLSKA: Tomaszewski — Szymanowski, Gorgoń, Żmuda, Musiał — Kasperczak, Deyna, Maszczyk — Lato, Szarmach (od 77 min. Ćmikiewicz), Gadocha.

WŁOCHY: Zoff — Spinosi, Burgnich (od 28 min. Wilson) Morini, Facchetti — Benetti, Mazzola, Capello — Causio, Chinaglia (od 46 min. Boninsegna), Anastasi.

GRUPA I

RFN—Chile				1:0	(1:0)
NRD—Australia				2:0	(0:0)
RFN—Australia				3:0	(2:0)
NRD—Chile				1:1	(0:0)
Chile—Australia				0:0	
NRD—RFN				1:0	(0:0)
1. NRD	2	1	0	5:1	4—1
2. RFN	2	0	1	4:2	4—1
3. Chile	0	2	1	2:4	1—2
4. Australia	0	1	2	1:5	0—5

GRUPA II

Brazylia—Jugosławia				0:0	
Szkocja—Zair				2:0	(2:0)
Jugosławia—Zair				9:0	(6:0)
Brazylia—Szkocja				0:0	
Brazylia—Zair				3:0	(1:0)
Jugosławia—Szkocja				1:1	(0:0)
1. JUGOSŁAWIA	1	2	0	4:2	10—1
2. BRAZYLIA	1	2	0	4:2	3—0
3. Szkocja	1	2	0	4:2	3—1
4. Zair	0	0	3	0:6	0—14

GRUPA III

Szwecja—Bułgaria				0:0	
Holandia—Urugwaj				2:0	(1:0)
Holandia—Szwecja				0:0	
Bułgaria—Urugwaj				1:1	(0:0)
Holandia—Bułgaria				4:1	(2:0)
Szwecja—Urugwaj				3:0	(0:0)
1. HOLANDIA	2	1	0	5:1	6—1
2. SZWECJA	1	2	0	4:2	3—0
3. Bułgaria	0	2	1	2:4	2—5
4. Urugwaj	0	1	2	1:5	1—6

GRUPA IV

POLSKA—Argentyna				**3:2**	**(2:0)**
Włochy—Haiti				3:1	(0:0)
POLSKA—Haiti				**7:0**	**(5:0)**
Argentyna—Włochy				1:1	(1:1)
POLSKA—Włochy				**2:1**	**(2:0)**
Argentyna—Haiti				4:1	(2:0)
1. POLSKA	3	0	0	6:0	12—3
2. ARGENTYNA	1	1	1	3:3	7—5
3. Włochy	1	1	1	3:3	5—4
4. Haiti	0	0	3	0:6	2—14

GRUPY PÓŁFINAŁOWE

A	B
NRD	Jugosławia
Holandia	Polska
Brazylia	RFN
Argentyna	Szwecja

Środa 26 czerwca

Stuttgart 19.30	**POLSKA—Szwecja**
Düsseldorf 16.00	Jugosławia—RFN
Gelsenkirchen 19.30	Holandia—Argentyna
Hanower 19.30	Brazylia—NRD

Niedziela 30 czerwca

Frankfurt 16.00	**POLSKA—Jugosławia**
Düsseldorf 19.30	RFN—Szwecja
Gelsenkirchen 16.00	NRD—Holandia
Hanower 16.00	Argentyna—Brazylia

Środa 3 lipca

Frankfurt 16.00	**POLSKA—RFN**
Düsseldorf 19.30	Jugosławia—Szwecja
Dortmund 19.30	Holandia—Brazylia
Gelsenkirchen 19.30	Argentyna—NRD

50 kilometrów aplauzu

W szatni radosny gwar, okrzyki, gratulacje. — **Graliście wspaniale!** — powtarza każdy kto przyszedł z powinszowaniami i życzeniami.

— **A to jeszcze nie koniec** — mówi buńczucznie Adam Musiał — **tylko niech pan tego nie pisze — zastrzega — pogramy, wszyscy znów zobaczą, i wówczas niech nas chwali prasa.**

— **To jest drużyna, to są koledzy** — powtarza Gorgoń.

— **Czy widział pan mój but?** — pyta Deyna. — **Tak strzeliłem, że mi pękł. Bramkarz reagował za późno.**

Kasperczak pokazuje stłuczone kolano, Ćmikiewicz i Szymanowski moczą się w basenie. Mały chłopczyk krąży po szatni i wręcza zawodnikom kwiaty.

Przed budynkiem stoi gromada wycieczkowiczów z Polski. Wiwatują, śpiewają. O kilkadziesiąt metrów dalej też stoi grupa kibiców. Szarpią kraty zagradzające drogę do szatni, klną, plują, złorzeczą. To Włosi, którzy stanowili trzy czwarte widowni. Chcą się wedrzeć i pobić swoich pupilów. A w szatni nastrój pogrzebowy. Italia, faworyt mistrzostw musi wyjechać do domu. Wcześniej jednak trzeba wydostać się jakoś ze stadionu. Otwierają się wreszcie kraty, sześciu policjantów na motorach rozpędza tłum i rusza autokar. Nikogo w nim nie widać. Wszystkie okna szczelnie zasłonięte.

Nasz autokar też ma trudności. Wysuwa się powoli w szpalerze wiwatującego tłumu. Skoro nie można dotknąć piłkarzy, każdy usiłuje przynajmniej poklepać autobus.

Koło stadionu grupy kibiców włoskich. Jak się zachowują? Swoich „potraktowali" butelkami. Na nasz widok machają swoimi sztandarami i o dziwo biją brawo.

Jedziemy przez miasto przy powszechnym aplauzie mieszkańców. Policjanci salutują, wszystkie auta mrugają światłami, ludzie na chodnikach, balkonach, w oknach — machają rękami, uśmiechają się, wołają — **wiwat Polska!**

Gdy się kończy triumfalny przejazd przez miasto i wypadamy na szosę, wydaje się, że to już koniec manifestacji i radości. Nic z tego. Szosy zatłoczone są samochodami. Wszystkie okna w nich otwarte, dachy odsunięte. Wyciągnięte ręce tworzą szpaler. Tak jest do samego Murrhardt. Dzieci, starzy, młodzi na widok naszego autobusu manifestują radość.

A w autobusie jak zwykle drużyna śpiewa — si, si, signorina — ta piosenka jest jak najbardziej na czasie, bo to i słowa włoskie i każdy już myśli o swojej dziewczynie, z którą dawno się nie widział.

W Murrhardt przed hotelem tłum. Każdy wysiadający witany jest oklaskami. Pracownicy hotelu i restauracji tworzą orkiestrę. Grają na trąbkach, dzwonkach, patelniach. Rodzina Hofingerów znów wita ekipę szampanem i biało-czerwonymi kwiatami.

Widziałem wiele imprez, na których Polacy odnosili wielkie sukcesy. Widziałem liczne dowody sympatii, ale nie spodziewałem się, że będę kiedykolwiek świadkiem owacji na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów. Owacji spontanicznej, szczerej, niekłamanej.

W Stuttgarcie **„Polska noc"**, na którą przybyły zespoły artystyczne z kraju, ale w Murrhardt też wesoło, festiwalowo. Mieszkańcy i władze miasta zapraszają nas na stadion. Dla uczczenia sukcesów Polaków przygotowali pokaz ogni sztucznych. Przez kilkanaście minut trwa kolorowy fajerwerk na cześć drużyny, o której mówią — nasza drużyna.

Po jedenastej w podziemiach hotelu ruch i krzątanina. Masażyści Dyba i Golota przystąpili do regeneracji sił zawodników. Dr Garlicki reguluje ruch pomiędzy sauną i basenem. W środę mecz ze Szwecją. Mistrzostwa świata zaczynają się od nowa, tyle tylko, że z wyższego pułapu, że będzie trudniej, że będą jeszcze większe wymagania. W temperaturze 100° Celsjusza rozmawiam z Szymanowskim, Kasperczakiem i Tomaszewskim o szansach w drugiej rundzie.

— **Nie mamy zamiaru przegrywać, ale gdybyśmy z dotychczasowym dorobkiem wrócili do kraju, chyba nikt nie miałby pretensji. Chyba udowodniliśmy, że potrafimy grać** — mówią chłopcy.

Przed hotelem robi się pusto. Samotnie stoi dziewczyna z różą w ręku. Chce ją ofiarować pewnemu piłkarzowi. Gdy mówię, że on nie wyjdzie na żaden spacer, bo już jest w łóżku, dziewczyna gorąco protestuje i ze złością patrzy na siedzącego w hallu trenera Górskiego.

A trener wie co robi. Najtrudniejsze do opanowania nastroje są właśnie po zwycięstwie.

STEFAN GRZEGORCZYK

Przeciętną bramek ratują POLACY

Do historii rozgrywek o Złotą Nike — mistrzostwa świata z roku 1966 w Anglii przeszły jako najbardziej defensywne. Osiągnięto wówczas wyjątkowo niską przeciętną — 2,78 bramki w jednym meczu. Jak będzie w tegorocznym Pucharze Świata?

Mecze I rundy nie dały w tej materii powodów do optymizmu. W rozegranych dotychczas 24 meczach (po 6 w każdej grupie) zdobyto zaledwie 63 bramki: w I grupie — 9, w II — 16, w III — 12, w IV — 26. Co daje bardzo niską przeciętną — 2,625.

Żenujące są zwłaszcza osiągnięcia zespołów I grupy — NRD, RFN, Chile i Australia uzyskały przeciętną — 1,5. **Imponująca jest w tym świetle bramkostrzelność Polaków, głównie dzięki temu w naszej grupie przeciętna wynosi — 4,33.** Gdyby tak strzelano w innych grupach?...

Z nimi gramy W PÓŁFINALE

NIE było nam dane zbyt długo cieszyć się wspaniałym triumfem nad jedenastką Włoch, niemal przez wszystkie periodyki piłkarskie klasyfikowaną w ubiegłym roku na pierwszym miejscu na świecie. Już jutro Polacy wybiegną na murawę stuttgarckiego Neckarstadionu przeciwko zespołowi Trzech Koron. To przeciwnik bardzo nietypowy. W zasadzie niewiele się o nim słyszy w przerwach między mistrzowskimi turniejami. Sprawa jest prosta. Szwedzi w ogóle należą do nacji mających dość ubogie międzynarodowe kontakty. Ale nawet te, jakie utrzymują, nie mogą służyć za wykładnik ich wartości. Stale bowiem najlepsi ich piłkarze zasilają czołowe kluby włoskie i francuskie (a ostatnio także Holandii i RFN). W tej sytuacji selekcjonerzy muszą bezustannie zespół narodowy budować od nowa.

Nigdy też nie wiadomo, jak jedenastka Szwecji zaprezentuje się w Pucharze Świata. Przed samym turniejem ściąga się co wybitniejszych piłkarzy z całej Europy i wiele zależy od tego, czy zdołają oni znaleźć wspólny język z partnerami. Cztery lata temu w Meksyku nie udało się scementować zespołu. Teraz jest znacznie lepiej, mimo iż właśnie zawodnicy występujący poza granicami kraju stanowią o sile zespołu. Kapitan drużyny, obrońca **NORDQVIST** i najwyższy piłkarz mistrzostw, **EDSTROEM**, są filarami PSV Eindhoven, a jak wiadomo, w lidze holenderskiej nie osiąga się sukcesów łatwo. Inni — **BENNO MAGNUSSON** (brat znanego w Polsce Rolanda, asa Olympique Marsylia), **ROLAND SANDBERG** i **CONNY TORSTENSSON** robią karierę w Bundeslidze. Jest jeszcze świetny rozgrywający Ove Grahn z Grasshoppers Zurych.

Szwecja, to zespół grający mało efektownie, ale doskonale znający piłkarskie rzemiosło i w zasadzie nie schodzący poniżej pewnego, wysokiego poziomu. Wydaje się także, że zbyt lekceważony. A mecz z Holandią wykazał, że Szwedzi potrafią być groźni dla każdego. Znakomitym organizatorem gry jest 30-letni **BO LARSSON**. Dzielnie mu sekunduje **OVE KINDVALL**, ongiś gwiazda Feyenoordu, obecnie broniący barw IFK Norrkoeping. Należy także obawiać się wysokiego **STAFFANA TAPPERA**.

No, ale najtrudniejszą do pokonania przeszkodą będzie z pewnością bramkarz **RONNIE HELLSTROEM**. Ten 25-letni zawodnik IF Hammarby nie puścił dotychczas ani jednego gola.

ALE następnego naszego przeciwnika należy się obawiać jeszcze bardziej. Plavich widzieliśmy w ubiegłym roku w Warszawie i pokazali się wówczas z jak najlepszej strony. Co ciekawe, zespół ten można w pewnym sensie porównać do Szwedów. Jugosławia bowiem od lat nie osiąga wyników, do jakich jest predestynowana, ponieważ każdego roku wielu świetnych piłkarzy zasila zagraniczne kluby. Przy wspaniałych umiejętnościach technicznych, wielkich zdolnościach improwizacyjnych i łatwości w przyswajaniu innowacji taktycznych, właśnie brak stabilizacji składu, zrozumienia pomiędzy poszczególnymi zawodnikami, wydaje się być głównym czynnikiem powodującym, że od dawna team Dżajica nie osiąga wyników, mogących usatysfakcjonować jego sympatyków.

Przy tym wszystkim stały dopływ „świeżej krwi", pojawianie się w kadrze zawodników o wybitnych uzdolnieniach, jest zjawiskiem wyjątkowym w skali światowej. Jeszcze rok temu prawie nikt nie słyszał o takich piłkarzach jak Buljan lub Surjak. Dziś uważani są oni za wielkie indywidualności mistrzowskiego turnieju. Nie są jednak pierwszoplanowymi postaciami w zespole. Do tych trzeba zaliczyć kapitalnego bramkarza **MARIČA**, stopera **BOGIČEVIĆA**, napastników **DŻAJICA** i **BAJEVIĆA**, a zwłaszcza nadspodziewanie dobrze grającego pomocnika Branko **OBLAKA**.

Plavi grają w tegorocznych MŚ dość pechowo. To sformułowanie może się wydać dziwne, jeśli się zważy, że awansowali do półfinałów zajmując pierwsze miejsce w grupie. Ale przecież poza rozgromieniem Zairu zapisali na swe konto tylko dwa remisy, mimo że zarówno w meczu ze Szkocją jak i w poprzednim, inaugurującym mistrzostwa, z Brazylią, moim zdaniem zasłużyli na zwycięstwo.

Piłkarze znad Adriatyku potrafią zdobyć się na zagrania, których przeciwnik w żadnym wypadku nie jest w stanie przewidzieć. Mają w swych szeregach piłkarzy umiejących dosłownie wszystko, a do tego stanowią bodaj najsilniejszy fizycznie zespół turnieju. Z tego ostatniego waloru korzystają jednak, jak pokazał mecz ze Szkocją, stanowczo za często. Przyzwyczailiśmy się do technicznej, finezyjnej gry Jugosłowian, a tymczasem dali się oni poznać także jako bodaj najbrutalniejszy zespół.

O JEDENASTCE RFN trudno wydawać miarodajne opinie. Na pewno nie spisuje się ona tak, jak oczekiwaliśmy. Ale nie wyciągajmy wniosków zbyt wcześnie. Może jej słaba, jak dotąd, postawa to zamierzony manewr? Gospodarze imprezy przeszli do dalszych rozgrywek przy minimalnym nakładzie sił. Wylosowali zdecydowanie najsłabszą grupę eliminacyjną i w ostatnim spotkaniu mogli sobie pozwolić na porażkę. Problem tkwi w tym, czy grali tak słabo, gdyż nie byli zmuszeni do poważniejszego wysiłku i mogli nawet kamuflować swą rzeczywistą wartość, czy specjalnie opóźniają szczyt formy, czy też po prostu nie są w stanie grać lepiej?

Konkretną odpowiedź otrzymamy dopiero w bezpośredniej konfrontacji, jaka nastąpi 3 lipca między naszym zespołem, a gospodarzami mistrzostw...

ANTONI PIONTEK

SERIA III

RFN — NRD 0:1 (0:0).
0:1 — Sparwasser (79). Sędziował: Ruiz (Urugwaj).

CHILE—AUSTRALIA 0:0.
Sędziował: Namdar (Iran).

BRAZYLIA—ZAIR 3:0 (1:0).
1:0 — Jairzinho (13), 2:0 — Rivelino (67), 3:0 — Valdomiro (79). Sędziował: Rainea (Rumunia).

JUGOSŁAWIA—SZKOCJA 1:1 (0:0).
1:0 — Karasi (81), 1:1 — Jordan (88). Sędziował: Archundia (Meksyk).

SZWECJA—URUGWAJ 3:0 (0:0).
1:0 — Edstroem (46), 2:0 — Sandberg (73), 3:0 — Edstroem (77). Sędziował: Linemayer (Austria).

HOLANDIA—BUŁGARIA 4:1 (2:0).
1:0 — Neeskens (6, karny), 2:0 — Neeskens (45, karny), 3:0 — Rep (71), 3:1 — Krol (78, samobójcza), 4:1 — de Jong (87). Sędziował: Boskovic (Australia).

POLSKA—WŁOCHY 2:1 (2:0).
1:0 — Szarmach (39), 2:0 — Deyna (44), 2:1 — Capello (86). Sędziował: Weyland (RFN).

ARGENTYNA—HAITI 4:1 (2:0).
1:0 — Yazalde (15), 2:0 — Houseman (18), 3:0 — Ayala (55), 3:1 — Sanon (63), 4:1 — Yazalde (87). Sędziował: Ibanez (Hiszpania).

ANDRZEJ SZARMACH NA CZELE

Aktualna tabela najlepszych strzelców MŚ 1974 (po zakończeniu rundy eliminacyjnej).

5 bramek — **SZARMACH** (Polska)
4 bramki — **LATO** (Polska)
3 bramki — Rep (Holandia), Bajević (Jugosławia)
2 bramki — **DEYNA** (Polska), Jordan (Szkocja), Yazalde, Houseman (Argentyna), Neeskens (Holandia), Sanon (Haiti), Edstroem (Szwecja).
1 bramka — **GORGOŃ** (Polska), Breitner, Mueller, Cullmann, Overath (wszyscy RFN), Lorimer (Szkocja), Streich, Hoffmann, Sparwasser (wszyscy NRD), Rivera, Benetti, Anastasi, Capello (wszyscy Włochy), Babington, Heredia, Ayala (wszyscy Argentyna), Dżajic, Surjak, Katalinski, Bogicević, Oblek, Petković, Karasi (wszyscy Jugosławia), Ahumada (Chile), Bonew (Bułgaria), Pavoni (Urugwaj), de Jong (Holandia), Sandberg (Szwecja), Jairzinho, Rivelino, Valdomiro (Brazylia).
Samobójcze: po 1 — Curran (Australia), Perfumo (Argentyna) i Krol (Holandia).

Druk: RSW „Prasa—Książka—Ruch", Prasowe Zakłady Graficzne, Al. Jerozolimskie 125, 02-017 Warszawa. Indeks 37304. Zam. 1835. W-36.

TELE-GOLE • TELE-GOLE • TELE-GOLE • TELE-GOLE

Brawa za pierwszą rundę

NIE można mieć żadnych zastrzeżeń do programu pracy TV z pierwszej rundy X Pucharu Świata. Poza spotkaniami Polaków obejrzeliśmy w akcji wszystkie zespoły II grupy, a także drużyny obu państw niemieckich. Za zestawienie transmisji można by więc wystawić naszej telewizji piątkę, gdyby nie drobne „ale". Szkoda, że nie transmitowano bezpośrednio żadnego meczu drużyny holenderskiej z fenomenalnym Cruyffem. Niezwykle cenną pozycją okazał się wieczorny przegląd wydarzeń dnia. Szczególne brawa za pokazanie w nim całego meczu Włochy — Argentyna!

Tradycyjnie poruszaną sprawę przy omawianiu sportu w TV stanowią komentatorzy. Na czoło naszej ekipy sprawozdawczej wybijają się dwa nazwiska: red. red. J. Ciszewski i St. Rzeszot. Pierwszy z tej racji, że na fonii słychać go najczęściej. Niestety, to chyba jedyne, co go wyróżnia. Denerwujący jest zwłaszcza fakt, że wspomniany komentator z zupełną niefrasobliwością podaje nazwiska piłkarzy, będących aktualnie przy piłce. Jego dbałość o zgodność słowa z obrazem ogranicza się jedynie do tego, że jeśli piłka jest w posiadaniu np. piłkarzy szkockich, to pada nazwisko szkockie. A kim jest ten zawodnik to dla red. Ciszewskiego sprawa zupełnie drugorzędna.

Doszło do tego, że około 50 procent nazwisk wymienia on błędnie. Dotyczy to również Polaków! Co jak co, ale sylwetki Deyny lub Gadochy powinny mu być doskonale znane. I chyba nie może się on tłumaczyć dużą odległością swego stanowiska od boiska, bo przecież ma przed sobą monitor, na którym wszystkie akcje widać chyba nie gorzej niż na naszych telewizorach. O innych wadach komentarza Jana Ciszewskiego nie ma potrzeby wspominać. Są wszystkim doskonale znane.

Zupełnie inaczej komentuje Stefan Rzeszot. Spokojnie, rzeczowo, stale pamięta o tym, że to, co on widzi, widzimy również my i nie dubluje słowami obrazu. Zdarzają się mu oczywiście potknięcia, ale są one raczej mało istotne.

Na kolejną pochwałę zasłużyła redakcja sportowa telewizji za zorganizowanie i bardzo dobre prowadzenie studia X Mistrzostw Świata. Kapitalnym pomysłem okazuje się zaproszenie do studia znanego sędziego międzynarodowego, p. Stanisława Eksztajna, który na bieżąco wyjaśnia sprawy związane z sędziowaniem. Niezwykle cenne było zwłaszcza poproszenie go o krótki wykład na temat przepisów dotyczących „spalonego". Takich komentarzy powinno być znacznie więcej, bo znajomość zasad gry w piłkę nożną wśród szerokich mas kibiców jest, niestety — niewielka, a telewizja z racji zasięgu swego oddziaływania ma tu ogromne pole do popisu.

Bardzo dobrze radzi sobie w roli prowadzącego studio red. Tomasz Hopfer. Trochę natomiast niepoważnie wyglądają telefoniczne plebiscyty, mające rozstrzygnąć, czy podawać wcześniej wyniki meczów aktualnie nie transmitowanych. Rozbawił zapewne telewidzów widok przerażonego red. Hopfera, gdy korespondent telewizji z Glasgow podał bez uprzedzenia (widzowie nie zdążyli zatkać uszu) rezultat meczu Jugosławia — Zair.

Jednak w sumie TVP spisuje się w tych emocjonujących dla nas dniach nie gorzej niż piłkarze. Nasze życzenie? Nie zwalniać tempa!...

Ta sytuacja może się powtórzyć tylko w dniu 6 lub 7 lipca, to znaczy w finale bądź też w meczu o III miejsce (przypominamy: I miejsce — złoty medal, II miejsce — pozłacany, III — srebrny, IV — brązowy). Kapitanowie reprezentacji Polski i Argentyny witają się przed pierwszym meczem swych drużyn. Z lewej Kazimierz Deyna, z prawej Roberto Perfumo.

Fot. Tomasz Prażmowski

PRASA w samych superlatywach

PIERWSZY akt gigantycznej piłkarskiej imprezy — poza nami. Postawa najlepszych 16 drużyn świata, uczestniczących w finałach, stała się przedmiotem dociekań i analiz. Z satysfakcją wypada stwierdzić, że gra naszego zespołu wywarła na obserwatorach turnieju finałowego nadspodziewanie duże wrażenie, a materiały prasowe i agencyjne uginają się od pochwał kierowanych do biało-czerwonych. W opiniach tych przeważa zdanie, że Polacy demonstrują bardzo dojrzały futbol, poparty skutecznością i doskonałą kondycją fizyczną.

Zdaniem Agencji Reutera Polacy udanie dotrzymali kroku ogólnemu faworytowi mistrzostw, reprezentacji RFN i obok niej pierwsi wywalczyli awans do półfinałów już po drugiej serii spotkań w grupie. „Polacy — podkreśla agencja — występujący w finałach mistrzostw świata po 36-letniej przerwie, stali się jednym z najgroźniejszych pretendentów do tytułu".

„Polski zespół — stwierdza agencja UPI — po pełnej chwały wygranej z Haiti i z Włochami okazał się najskuteczniejszą drużyną mistrzostw. Drużyna polska imponuje szybką, nowoczesną grą".

Kalejdoskop grzeczności prawionych polskim piłkarzom niejednokrotnie przybiera w komentarzach niecodzienną formę. Niektórzy z komentatorów meczów rozgrywanych przez polski zespół zdradzają tendencję do wyszukiwania najbardziej oryginalnych określeń o grze biało-czerwonych.

W relacji Agencji Reutera z meczu naszej reprezentacji z Argentyną sprawozdawca stwierdził: „Polacy jak walec parowy przetoczyli się przez zespół Argentyny". Ton ten zdaje się podtrzymywać austriacki „Kurier": „Argentyńczycy załamali się wobec wysokiej klasy Polaków. Polski zespół serwował swe zatrute strzały tam, gdzie Argentyńczycy byli najsłabsi, to znaczy na ich formacje obronne".

Podobnie pisze sprawozdawca hiszpańskiej gazety „Arriba": „Argentyńczycy ponieśli klęskę w meczu, w którym Kreole wypadli jak własna karykatura. Futbolowi argentyńskiemu Polacy przeciwstawili dokładność, szybkość i umiejętność rozgrywania piłki. Polski zespół dysponuje wspaniałym Deyną, któremu dzielnie sekundowali Maszczyk i Żmuda, a także istne demony piłki — napastnicy Lato, Szarmach i Gadocha".

W komentarzach dotyczących oceny gry naszego zespołu nie brak również krytycznych uwag pod adresem Polaków. Madrycki „AS" wypomina polskiej drużynie zaległości kondycyjne a francuski „Le Figaro" stwierdza, iż nasz zespół w spotkaniu z Argentyną okresami tracił kontrolę gry, zwłaszcza w momentach naporu rywali. „Pozwala to sądzić — dodaje „Le Figaro" — że polskiej drużynie brak jeszcze ostatecznego szlifu, który pozwoliłby ukazać jak najlepsze umiejętności piłkarskie, szlifu, który cechuje drużyny najwyższej klasy".

Ciekawa jest reakcja komentatorów angielskich na sukcesy Polaków. Jak cień w opiniach Brytyjczyków przewija się świadomość porażki piłkarzy angielskich w eliminacjach z naszym zespołem. Dla przykładu selekcjoner reprezentacji Anglii Joe Mercer, w wywiadzie telewizyjnym, doceniając klasę naszego zespołu nie omieszkał powrócić do pamiętnego spotkania na Wembley.

Jako ciekawostkę warto tu przytoczyć prognozy „Bonner Rundschau" dotyczące rezultatów w grupie IV. Pismo to przewidywało wyniki: Włochy — Haiti 4:0, Polska — Argentyna 1:2, Haiti — Polska 0:3, Argentyna — Włochy 3:2, Argentyna — Haiti 5:1, Włochy — Polska 1:0.

Najgorzej być prorokiem we własnym kraju, prawda?

Opracował
ANDRZEJ STEFAŃSKI
(PAP)

POLSKA-ARGENTYNA oczami czytelnika

Przedstawiamy dziś Czytelnikom fragmenty listu MARKA KRAULA z Łodzi, w którym znajduje się naszym zdaniem kilka ciekawych uwag dotyczących meczu Polska—Argentyna.

— Mecz Polaków obejrzałem w TV dwukrotnie, bardzo dokładnie go przy tym analizując. Powstały z tego następujące spostrzeżenia, którymi pragnę się z Wami podzielić. Oto tabela, która najprościej moim zdaniem obrazuje przebieg spotkania.

	Polska			Argentyna		
	I poł.	II poł.	łączn.	I poł.	II poł.	łączn.
rzut wolny	13	16	29	8	15	23
rzut rożny	3	3	6	2	2	4
wrzut z autu	10	5	15	13	10	23
strzały w światło bramki	6	5	11	1	5	6
strzały obok bramki	1	3	4	3	1	4
spalony	4	4	8	1	0	1
podanie do bramkarza	2	3	5	1	0	1

Z tych jedenastu strzałów w światło bramki pierwszy i drugi były jednocześnie bramkami. Trzeci — Deyny z 18 metrów Carnevali z trudem wybił na korner, czwarty — słupek po wolnym Gadochy, piąty — Szarmacha obrońca wybił nogą z linii bramkowej, szósty — Deyny z 35 metrów Carnevali znów z wielkim trudem broni i znowu korner. Tak wyglądała pierwsza połowa.

Warto przypomnieć, że z trzynastu rzutów wolnych, które wykonywaliśmy, jeden (czwarty w kolejności) o mało nie przyniósł następnej bramki, szósty w kolejności od początku meczu był równoznaczny z żółtą kartką dla zawodnika Argentyny.

Po stracie drugiej bramki Polacy byli trochę słabsi kondycyjnie od Argentyńczyków. Mimo że w światło bramki nie było żadnego strzału, to jednak przeprowadziliśmy aż cztery bardzo groźne ataki (Argentyna tylko 2), z których co najmniej jeden teoretycznie powinien przynieść gola, chociażby po ataku Deyny w 88 min., kiedy Carnevali w ostatniej chwili sprzątnął mu piłkę.

Warto jeszcze wrócić do strzałów w światło bramki. Było ich wszystkich 11 (z tego 6 omówionych już wyżej w pierwszej części meczu). W drugiej połowie natomiast:

7 — Szarmach — słupek
8 — Gadocha — z wolnego — Carnevali pewnie łapie
9 — Deyna — Carnevali znów z trudem broni
10 — Gorgoń — po podaniu z wolnego — Carnevali z najwyższym trudem wybija na korner
11 — Lato — 3:1.

Tak można ująć ten mecz statystycznie, interpretacja zaś może już być różna. To zależy od Czytelników.

DZIENNIK EKIPY (2)

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

— Dlaczego taki skład, a nie inny?

— Opracowaliśmy różne warianty gry — mówi Górski — gdyby na przykład Gorgoń uległ kontuzji, ale lepiej odpukać...

Nie tylko trener, ale i dziennikarze robią to tak skwapliwie, że na sali słychać tylko stukot.

— Jeśli w czasie gry nie sprawdzi się jakiś zawodnik, to na jego miejsce wprowadzimy innego — mówi dalej trener. — Szkoda, że nie wystąpi Ćmikiewicz, ale przyznać trzeba, że obecnie lepiej prezentuje się Maszczyk. Ogólnie rzecz biorąc, drużyna, chcąc uzyskać korzystny rezultat, musi umiejętnie się bronić i umiejętnie atakować. Co będzie w czasie meczu dominowało, to w dużym stopniu zależy od przeciwnika. W każdym razie nie nastawiamy się na murowanie bramki.

— Doszły do nas głosy z Polski, że macie zbyt luksusowe warunki pobytu — mówi jeden z dziennikarzy.

— Na pierwszy rzut oka wydawać się może, że w głowie nam się poprzewracało i chcemy mieszkać jak milionerzy, ale tu nie ma nic nadzwyczajnego. To są po prostu warunki konieczne do szybkiej regeneracji sił dla wyczynowców. Przyjechaliśmy przecież nie na jeden mecz, lecz na cały turniej.

— Dlaczego się zamykacie i przed drzwiami stawiacie policjanta?

— Bo zawodnicy muszą mieć spokój. Do hotelu poza mieszkańcami i osobami zaproszonymi przez kierownictwo nikt nie będzie miał prawa wstępu.

— Nawet polscy dziennikarze?

— Przykro nam, ale tak...

Dziennikarze nie ustępują, muszą nadawać do kraju dużo materiału, muszą z bliska patrzeć na to, co robią piłkarze. Konferencje prasowe nie rozwiążą im sprawy. Spotkanie z rzecznikiem prasowym to też tylko półśrodek. Postanowienie nie zostanie jednak cofnięte, tyle tylko, że przez palce patrzyć się będzie na łamanie zakazu.

Dziś tak na dobre zaczęły się mistrzostwa. Przed kolacją usiedliśmy przed telewizorem, aby obserwować pojedynek RFN—Chile. Miał to być łatwy mecz dla reklamowanych szeroko gospodarzy, a tymczasem Chilijczycy, nawet grający w dziesiątkę, skutecznie stawiali opór. Trener Górski zapytany o wrażenia powiedział, że jest mile zaskoczony postawą drużyny, którą z góry skazywano na porażkę.

Po kolacji mecz Australia—NRD. I znów zdziwienie, że w Australii już nieźle kopią piłkę.

Aby wszyscy mogli oglądać transmisję, nawet do pomieszczenia gdzie odbywają się masaże wstawiono telewizor.

O 21.55 Tomaszewski mówi dobranoc i wychodzi. Pozostali w ogóle nie zwracają uwagi na porę dnia. Dopiero gdy trener Strejlau pyta, która godzina, uświadamiają sobie, że czas spać. Są trochę podenerwowani. Trudno się dziwić. Wszyscy nie wyłączając największych rutyniarzy debiutują w mistrzostwach świata.

SOBOTA, 15 czerwca

Przy śniadaniu wszyscy sprawiają wrażenie wyspanych, wypoczętych, skoncentrowanych psychicznie. Spokojni, poważni.

— Najgorsze są dwa dni przed meczem — mówi masażysta Gołota. — Każdy szuka dziury w całym. W dniu meczu wszyscy łagodni są jak aniołki. Wszyscy wymasowani, wyklepani. Szczególnie ci, którzy mają grać. Pracujemy już w trójkę. Pomaga nam miejscowy masażysta...

O 18.00 odprawa. Koledzy z telewizji świecą nam w oczy swymi lampami. Kręcą film o udziale Polaków w mistrzostwach świata, więc krok w krok chodzą za drużyną. Chcieliby zostać na odprawie i trochę popracować, ale niestety z drużyną zostaje tylko określona, ścisła grupa kilku ludzi.

— Przez pierwsze piętnaście minut mocne uderzenia — mówi Kazimierz Górski. — Wsiadamy na nich, atakujemy szybko — oto ogólne założenia. Każdy ma określone zadanie. Każdy wie, co robić. Ten mecz może decydować o całym turnieju. Trzeba być wyjątkowo czujnym. Argentyna potrafi grać w piłkę.

Plan na dzisiejszy dzień przedstawia się następująco: o 11.00 jedziemy na spacer. Przed obiadem spotykamy się na 10 minut, aby powtórzyć, przypomnieć sobie warianty taktyki. Po obiedzie odpoczywamy. O 15.30 wyjazd na mecz.

Kierownictwo pisze list do Włodzimierza LUBAŃSKIEGO:

„Na kilka godzin przed rozpoczęciem spotkania z Argentyną przekazujemy Ci najserdeczniejsze pozdrowienia. Cały czas myśleliśmy, że tak jak poprzednio będziesz wraz z nami reprezentował naszą Ojczyznę. Zły los chciał inaczej.

Życzymy Ci szybkiego powrotu do zdrowia i jesteśmy przekonani, że jeszcze nie raz będziesz z nami odnosił niejedno zwycięstwo.

Podpisują: Stanisław NOWOSIELSKI, Jan MAJ, Edward DĘBICKI, Kazimierz DEYNA, Adam MUSIAŁ i Zygmunt MASZCZYK.

Na kolorowej pocztówce przedstawiającej drużynę: „SERDECZNE POZDROWIENIA I ŻYCZENIA SZYBKIEGO POWROTU NA BOISKO" — przesyłają koledzy z reprezentacji.

Od rana było słońce, a więc jak ktoś orzekł, argentyńska pogoda. Dwa dni temu dziennikarz włoski pytał trenera Górskiego, czy lubi argentyńskie tango. Trener odrzekł, że bardzo. Czy dzisiaj je zatańczy?

Zwykle denerwujące są pierwsze minuty meczu. Dziś było odwrotnie. W ciągu 8 minut prowadziliśmy 2:0. Potem jednak widać było, że jesteśmy lepsi, ale już niejeden lepszy schodził z boiska pokonany.

Siedzieliśmy w loży honorowej. Po każdej udanej akcji sąsiedzi zwracali na nas coraz większą uwagę. Potem mimo że mecz jeszcze trwał, zbieraliśmy gratulacje.

— Polska pokazała nam, jak należy grać — powiedział Gerd Müller.

W Murrhardt gościnny Bofinger pyta, czy może podać zawodnikom lampkę szampana.

— Dla kierownictwa również — mówi trener Górski.

NIEDZIELA, 16 czerwca.

Dziś dzień radosny, relaksowy. Po śniadaniu idziemy spacerkiem na ratusz, gdzie burmistrz miasteczka otwiera wystawę pt. POLSKA, KRAJ I LUDZIE.

Razem z nami jest grupa Polaków z Berlina Zachodniego. Przyjechali specjalnie spotkać się z piłkarzami.

— Ha! O hej! Polska jest o'key! — wznoszą okrzyk na cześć drużyny.

Po raz pierwszy spotkali się z piłkarzami trzy lata temu, w Hamburgu, gdzie zremisowaliśmy z RFN. Obiecali tam, że będą przyjeżdżać na wszystkie ważne mecze Polski. Byli na Igrzyskach Olimpijskich. To rodacy ze Zjednoczenia Polaków w Berlinie, które reprezentuje pan Henryk Olkiewicz. Około 3 tysięcy członków liczy ta organizacja utrzymująca żywy kontakt z krajem. Urządza wycieczki, imprezy, angażuje się w działalność na rzecz polskiego sportu. Jeden z członków Zjednoczenia jest przewodniczącym Komitetu Olimpijskiego. To pan Jan Perli, który uczestniczy w sejmikach polonijnych.

Na zakończenie spotkania wznoszą okrzyk na cześć przybyłych: hip, hip, hura — ale robią to tak niemrawo, że wywołują powszechny śmiech i muszą powtarzać.

Jednak program dnia nie może się ograniczyć do samych spotkań i wizyt. Mistrzostwa świata dopiero się zaczęły, a że dla nas tak przyjemnie — to już inna sprawa.

Przed obiadem zawodnicy muszą udać się na normalny trening na boisku. Pogoda jest piękna, słoneczna. Na boisku gromadzi się tłum. Przyjechało dużo rodaków, ale jest też dużo dziennikarzy zagranicznych. Wszyscy chcą z bliska zobaczyć piłkarzy. Wszyscy chcą ich sfotografować. Po kilkunastu minutach na boisku atmosfera taka jak na pikniku.

Trener Górski, jego asystent Jacek Gmoch i trener Andrzej Strejlau proszą, aby zrobić trochę miejsca dla piłkarzy, bo inaczej będą zmuszeni przerwać trening. Dochodzimy do wniosku, że na następne tego typu treningi trzeba będzie prosić eskortujących nas policjantów, aby zamykali wejście na boisko.

Po obiedzie zawodnicy sobie odpoczywają, a kierownictwo ustala plan na następne dni do spotkania z Haiti.

Od rana listonosz miał pełne ręce roboty. Z Polski nadchodzi mnóstwo telegramów z gratulacjami i życzeniami dalszych sukcesów. Zawodników bardzo to cieszy. Pytają, jak tam w kraju przyjęto ich sukces, jak kibice radowali się z odniesionego zwycięstwa. Mimo zakazu wchodzenia, w hallu hotelowym tłum zagranicznych dziennikarzy. Zjawia się grupa siedmiu dziennikarzy angielskich, którzy proszą trenera Górskiego o wywiad. Trener jak zwykle nie odmawia, ale gdy skończy z jednymi musi zaczynać z następnymi i tak, gdyby miał czas, to mógłby do wieczora siedzieć i odpowiadać na pytania. Wszyscy dziennikarze zagraniczni pytają o jedno: — JAK TO SIE STAŁO, ŻE POLSKA TAK SZYBKO AWANSOWAŁA DO ŚWIATOWEJ CZOŁÓWKI. Trener odpowiada skromnie, że to po prostu praca i talent zawodników składają się na to, że jest właśnie tak a nie inaczej.

STEFAN GRZEGORCZYK

Cztery debiuty KAPITANA

PO PIERWSZEJ rundzie eliminacyjnej X Mistrzostw Świata nazwisko kapitana polskiej reprezentacji, **Kazimierza DEYNY**, było wymieniane niemal we wszystkich komentarzach. Pisano o nim w samych superlatywach. Można było się spotkać również z opiniami zagranicznych fachowców stwierdzającymi, że rozgrywający Legii był najlepszym piłkarzem tej rundy. Czy tak było w istocie — trudno w tej chwili osądzić. W każdym jednak razie wydaje się, iż jego konkurentem do tego miana mógł być tylko fenomenalny napastnik holenderski, Johan Cruyff. A to zestawienie mówi już bardzo wiele o klasie zaprezentowanej przez Polaka.

Poniżej przedstawiamy teksty traktujące o czterech debiutach kapitana naszej ekipy na mistrzostwa świata. O debiucie w reprezentacji juniorów mówi **Wiesław MOTOCZYŃSKI**, o pierwszym występie w zespole narodowym **Ryszard KONCEWICZ**. Pozostałe dwa teksty przedstawiają Deynę w okresie monachijskiej Olimpiady oraz „Kakę" dnia dzisiejszego, z IV grupy ćwierćfinałowej X Pucharu Świata.

Bez tremy

1 LISTOPADA 1965 roku, w dniu, w którym pierwsza reprezentacja Polski toczyła nierówny pojedynek z reprezentacją Włoch o zakwalifikowanie się do szesnastki finałowej mistrzostw świata w Anglii (porażka 1:6), narodowa jedenastka juniorów rozgrywała mecz towarzyski z drużyną NRD. W meczu tym, który odbył się w Altenburgu, po raz pierwszy wystąpił obecny kapitan reprezentacji narodowej — Kazimierz DEYNA.

Kierownikiem ekipy w czasie tego wyjazdu był Wiesław MOTOCZYŃSKI, pełniący wówczas funkcję przewodniczącego komisji do spraw selekcji w PZPN.

— Po raz pierwszy zobaczyłem Kazimierza Deynę w czasie rozgrywek o Puchar Michałowicza. Spodobał mi się ten długonogi chłopak ze Starogardu Gdańskiego. Z techniką był wprawdzie jeszcze mocno „na bakier", jednak było w jego sposobie gry coś takiego, co kazało dostrzegać w nim talent pierwszej wody. Umiał sobie świetnie wynajdywać miejsce do gry. Postanowiliśmy więc — trenerem drużyny juniorów był wówczas Antoni Brzeżańczyk — ściągnąć go na zgrupowanie przygotowawcze przed meczem. Chcieliśmy zobaczyć, co on jeszcze innego umie. Pracował solidnie, ale ciągle jeszcze te jego długie nogi nie potrafiły w przyzwoity sposób opanować piłki.

Na mecz do Oldenburga jechał jako rezerwowy. Dopiero na kilka godzin przed spotkaniem udało mi się nakłonić trenera Brzeżańczyka do wystawienia Kazika do pierwszej jedenastki. Miał po raz pierwszy w życiu poprowadzić reprezentacyjny atak. Z niepokojem i nadzieją przyglądaliśmy się jego poczynaniom. Zdumiewało nas, że od pierwszego gwizdka sędziego ten debiutant zachowuje się jak doświadczony piłkarz. Ani śladu debiutanckiej tremy, ani śladu skrępowania, niepewności. Nie wszystko wprawdzie jeszcze wychodziło, nie każda akcja przez niego rozpoczęta kończyła się zagrożeniem bramki przeciwnika, ale już wtedy podziwiać mogliśmy narodziny prawdziwego piłkarza. Mecz wprawdzie przegraliśmy 0:1, niemniej było to spotkanie dwóch równorzędnych drużyn. Kazik był zaś tym polskim napastnikiem, który najczęściej potrafił „urwać się" obrońcom gospodarzy i strzelić na bramkę przeciwnika. I ta właśnie umiejętność wymanewrowania obrońców, a także ogromna bojowość, pozwalały nam snuć nadzieje na dalsze postępy tego piłkarza.

Mieliśmy wówczas rację. Najlepiej świadczy o tym fakt, że do końca kategorii juniora Kazimierz Deyna występował w tym zespole na środku ataku. Później zainteresowały się nim kluby ligowe — najpierw ŁKS, a potem Legia.

Obserwując obecnie jego doskonałą grę w meczach o wyjście z grupy IV mistrzostw świata, nie mogę po prostu uwierzyć, że miałem tak szczęśliwą rękę. Droga, która dzieli debiutującego osiemnastolatka od pierwszego reprezentacyjnego występu do gier w Republice Federalnej Niemiec Anno Domini 1974, jest ogromna. Dziś Deyna jest to już „profesor" futbolu. Ale wtedy, kiedy najprostsze nawet uderzenia były nieprawidłowe i kiedy podstawowym jego walorem była ogromna ambicja i nieuznawanie straconych piłek, nie wyobrażaliśmy sobie, że chłopiec ten stanie się autorem sobie tylko właściwych technik strzeleckich, tzw. rogali i kaczek, które zepsują humor niejednemu bardzo dobremu bramkarzowi niejednej reprezentacji.

Na marginesie tego pierwszego, debiutanckiego występu dodam jeszcze i to, że po siedemdziesięciu minutach gry trener Brzeżańczyk ściągnął Deynę z boiska, ponieważ Kazik sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Jednak obaj zgodnie uznaliśmy, że był to bardzo dobry występ obecnego lidera polskiej reprezentacji.

M.O.

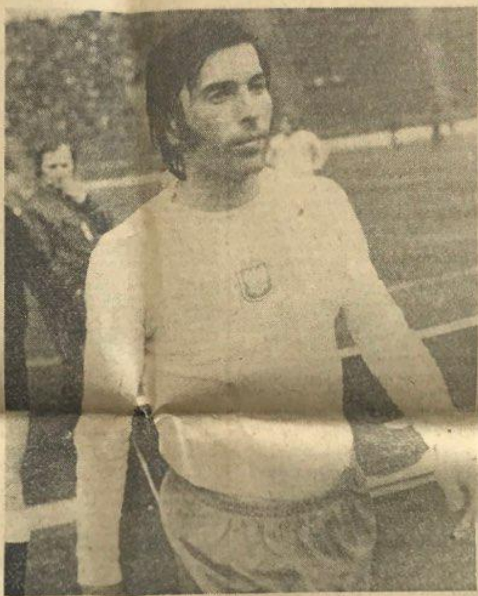

Rozwój przebiega prawidłowo

DWA i pół roku musiał czekać Kazimierz Deyna na swój ponowny debiut, tym razem już w I reprezentacji Polski. Stało się to w meczu Polska — Turcja, rozegranym w dniu 24 kwietnia 1968 roku na stadionie w Chorzowie. Mecz ten reprezentacja Polski wygrała w rekordowym stosunku 8:0, ale debiutujący w niej obecny „generał futbolu", jak go niektórzy komentatorzy piłkarscy określają, bramki jeszcze nie zdobył. Trenerem reprezentacji Polski był w owym czasie **Ryszard KONCEWICZ**. Oto jego opinia o Kazimierzu Deynie z okresu debiutu:

— Z niewielką przesadą można powiedzieć, że o powołaniu Deyny do reprezentacji zadecydowały niemal te same walory, jakie prezentuje on obecnie. Oczywiście, jego przegląd wydarzeń na boisku nie mógł się wówczas równać temu, co dostrzega ten zawodnik dzisiaj, niemniej wyróżniało go to in plus spośród grona kandydatów na pozycję rozgrywającego. Druga bardzo istotna cecha Deyny to strzał, może nie tyle zaskakujący, ile bardzo celny, nierzadko podkręcany, sprawiający bramkarzom przeciwnika ogromnie wiele kłopotu.

To główne pozytywy Deyny w owym okresie. Miał on też swoje minusy. Do nich należały przede wszystkim znaczne „straty własne" wynikające z niedokładnych, zbyt szybko wyprowadzanych podań. Jego technika indywidualna w owym okresie pozostawiała także sporo do życzenia.

Rozważając jego kandydaturę do reprezentacji — długo ważyłem na szali jego plusy i minusy. Wypadło mi z tych rozważań, że mimo wszystko powinienem zaryzykować i wystawić go do tego meczu. Walorami decydującymi były w tym względzie umiejętność oddania silnego strzału z drugiej linii oraz — co było od początku bardzo ważnym jego atutem — zaskakujące wypuszczenie partnera z pierwszej linii.

O samym debiucie mogę powiedzieć tylko tyle, że wypadł zadowalająco.

Co jeszcze brałem pod uwagę przy rozważaniu jego kandydatury do reprezentacji? Jego wiek i przewidywane możliwości rozwojowe. Był bardzo młody i umiał już sporo w przeciwieństwie do wielu konkurentów, którzy, grając od niego znacznie dłużej, umieli co najwyżej tyle lub znacznie mniej. Teraz widzę, że mój punkt widzenia okazał się słuszny, że Deyna, rozsądnie prowadzony zarówno w klubie jak i w reprezentacji, zrobił kolosalny skok do przodu, stając się rzeczywiście piłkarzem dużego formatu.

Czy zawsze był kandydatem na kapitana reprezentacji? Powiem szczerze — nie. W początkach swojej kariery zawodniczej i reprezentacyjnej miewał „złe dni". Oczywiście, nie były to tego rodzaju sprawy, które by go mogły dyskwalifikować, niemniej podziwiając obecnie Deynę na boisku, nie sposób nie podkreślić ogromnego rozwoju osobowości tego piłkarza także i pod tym względem. W chwili obecnej, mimo iż mój kontakt z tym piłkarzem jest więcej niż skromny, uważam że jest to w pełnym tego słowa znaczeniu lider zespołu, tak na boisku jak i poza nim. Zdobył w zespole autorytet, zdobył szacunek przeciwnika na boisku, stał się wybijającym piłkarzem naszego kontynentu, a mimo to na boisku nie ma w nim nic z „gwiazdy". Trudno byłoby mi powiedzieć, że to moja zasługa, jednak nie od dziś wiadomo, że mam twardą rękę, i że w czasie zajęć nie pozwoliłbym żadnemu zawodnikowi na robienie tego, co chce.

To, co powiedziałem powyżej, w niewielkim tylko stopniu odnosi się do Kazimierza Deyny, który w zajęciach na boisku był zawsze wzorem pracowitości i zapału. On rzeczywiście chciał się na każdym treningu czegoś nowego nauczyć, udoskonalić, czego nauczył się w dniu poprzednim.

Obserwując występ Deyny w meczu z Argentyną, mogłem się tylko cieszyć, że ten szczupły, długonogi chłopak, któremu piłka czasami jeszcze przeszkadzała w grze, przemienił się w zawodnika tak wysoko zaawansowanego technicznie oraz tak wybitnego stratega. Uważam, że to co osiągnął obecnie — nie jest jeszcze jego ostatnim słowem.

M.O.

KRÓL STRZELCÓW XX OLIMPIADY

W ekipie polskich piłkarzy udających się na Igrzyska Olimpijskie w Monachium jedynym, dość dobrze znanym europejskim kibicom zawodnikiem, był Włodzimierz Lubański. Niektórzy fachowcy wspominali jeszcze o Zygmuncie Anczoku. Po zakończeniu turnieju na ustach wszystkich było nazwisko **Kazimierza Deyny**. Polska drużyna zdobyła złoty medal, **a rozgrywający Legii — debiutant na Olimpiadzie — tytuł najlepszego strzelca turnieju z dziewięcioma bramkami na koncie.**

Występ w Monachium był jakby drugim etapem wielkiej, międzynarodowej kariery tego piłkarza. Pierwszym — były pucharowe występy Legii. **Dopiero jednak olimpijski występ Deyny stanowił prawdziwą okazję do pokazania się z jak najlepszej strony piłkarskiej Europie. I piłkarz Legii wykorzystał ją w stu procentach. Jak wtedy grał Kazimierz Deyna?**

Od pierwszych spotkań polskiej drużyny wiadomo było, jak wiele zależy od jego dyspozycji. Tylko w zwycięskim meczu z NRD wyręczali go koledzy w zdobywaniu bramek. W pozostałych sześciu — jego nazwisko pojawiło się nieodmiennie na tablicy strzelców. Przy jego doskonale mierzonych, pozornie słabych strzałach, bezradni byli nawet najlepsi bramkarze. Gole zdobyte w spotkaniu finałowym z Węgrami (każdy w odmienny sposób) dowiodły znakomitego opanowania trudnego kunsztu strzeleckiego.

Ale Deyna — to nie tylko wyborowy strzelec. Już na Olimpiadzie na jego barkach spoczywał w znacznej mierze ciężar prowadzenia gry. Okazało się, że posiada znakomity przegląd sytuacji. Dowiódł też niezwykłego opanowania nerwowego, doskonale egzekwując rzut karny w meczu z ZSRR. Rudakow był bezradny.

Baczniejsi obserwatorzy dostrzegli zapewne również u niego pierwsze próby regulowania tempa gry, uspokajania jej, a tym samym wybijania z rytmu przeciwnika. Ale to były dopiero początki. Mistrzowskie opanowanie tych elementów miało dopiero nadejść.

Obok tych wielkich zalet w grze Deyny tkwiły jeszcze spore niedostatki. Nie zawsze podjęta decyzja okazywała się właściwa. Szwankowała jeszcze celność podań. Nie zawsze też Deyna potrafił wykorzystać we właściwy sposób umiejętności kolegów z zespołu. Zdarzało się, że za bardzo wierzył w swe indywidualne wyszkolenie techniczne. Popełnił przecież w meczu finałowym błąd, który kosztował nas bramkę.

Nie był jeszcze dyrygentem drużyny. Rolę tę spełniał wtedy Lubański.

Debiut olimpijski Kazimierza Deyny stanowił jednak realną zapowiedź osiągnięcia takiej klasy. Tak też oceniała jego postawę piłkarska Europa. Mimo że podważano wielokrotnie wagę olimpijskiej konfrontacji, nazwisko Polaka znalazło się na listach głosujących na najlepszego piłkarza starego kontynentu w plebiscycie organizowanym corocznie przez redakcję „France Football".

Z. L.

Wirtuoz piłki!

Tak właśnie, nie inaczej, tu w RFN podczas X Mistrzostw Świata w piłce nożnej, określa się Kazimierza Deynę, do czego w znacznej mierze przyczynił się znakomity mecz Polaków z Argentyną, kiedy to kapitan biało-czerwonych wykazał także swoje niepowszednie walory.

Król strzelców Olimpiady w Monachium przyćmił w tym meczu, i to w sposób nie budzący absolutnie wątpliwości, sławnego Argentyńczyka — Brindisiego.

Słowem tu, w RFN, Kazimierz Deyna, mózg i wielki strateg polskiego zespołu, nie tylko potwierdził swoje znane uprzednio i doceniane wartości, ale także udowodnił dalsze, olbrzymie postępy. **Dzięki temu — jak twierdzą zagraniczni fachowcy — kapitana polskiego zespołu można śmiało zaliczyć do rzędu najwybitniejszych piłkarzy światowego formatu.**

Jakie zatem nowe elementy w swojej grze prezentuje, jak dotąd, polski piłkarz, o którym mówi się jako o największej rewelacji inauguracyjnych spotkań?

Otóż tu, na boiskach RFN, rzuca się wprost w oczy chyba większa niż niegdyś — podczas finału olimpijskiego w Monachium, czy nawet na Wembley — dojrzałość w grze zawodnika Legii, a także jego nadzwyczajna wprost waleczność. Kazimierz Deyna, który sam o sobie twierdzi, że nie jest jeszcze w szczytowej formie — imponuje wszystkim obserwatorom jego występów spokojem, nade wszystko zaś chyba umiejętnością wybrania właściwego momentu do zwolnienia, zmiany tempa gry w sytuacjach, gdy jest to konieczne w celu „wybicia z rytmu" przeciwnika, albo do odczekania na moment wyjścia kolegów z drużyny na dogodne pozycje — żeby później jednym, długim lub krótkim, celnym podaniem stworzyć im możliwość wykonania zaskakującego ataku.

Dzięki tym właśnie przymiotom — nie zapominając przy tym o własnych, wybitnych umiejętnościach strzeleckich — potrafi też, chyba jak nikt inny w naszym zespole, niejako „sterować" kolegami i wykorzystywać dla zespołu ich umiejętności — zwłaszcza napastników. Jeśli dodamy do tego także i to, że skończyły się chyba czasy, kiedy sam miewał kłopoty z szybkością i kondycją oraz fakt, iż — jak się to mówi w piłkarskim żargonie „ma oczy dookoła głowy", zatem potrafi wszystko widzieć na boisku i reagować na to, ponadto uwalniać się spod „najczulszej opieki" przeciwników — wówczas łatwo dojdziemy do wniosku, że te wszystkie zachwyty, które wciąż tu wysłuchujemy pod jego adresem, nie są wcale przesadzone.

Zatem, co podkreślam z przyjemnością, mamy już w naszym zespole doprawdy wspaniałego, umiejącego wszystko — piłkarza dyrygenta drużyny, którego indywidualność stanowi między innymi o sile całej jedenastki biało-czerwonych. Słowem takiego, którego śmiało można postawić w jednym rzędzie z Cruyffem, Rivelino, Beckenbauerem, Netzerem, Riverą...

— Tylko, że — mówi on sam, Kazimierz Deyna — zwłaszcza po meczu z Argentyną nie przewiduję dla siebie „łatwego" życia podczas tych mistrzostw. Oczywiście, zrobię wszystko, aby i nadal służyć swoimi umiejętnościami drużynie, ale z drugiej strony — co już odczuwam — w miarę jak mówi się tu o mnie i pisze — moi rywale starają się, i będą to robić nadal, ograniczyć swobodę moich poczynań na boisku. Krótkie, agresywne krycie, niekiedy nawet i większą liczbą zawodników, sprawia, że niełatwo mi już teraz prezentować swoje umiejętności. Ale może to i lepiej, bo przecież tylko twarda walka hartuje piłkarza, wpływając na podnoszenie jego umiejętności.

M. SZYMKOWIAK

JEDYNAK Z KLUBU MISTRZA

„Zarząd klubu Siemianowiczanka wraz z trenerem Gieburem postanowił coraz mocniej stawiać na naszych juniorów. Debiut z Maszczykiem w ostatnich meczach udał się. Ten młody chłopak wraz z Rzychoniem i Graborzem nabrał wiary we własne siły. Maszczyk będzie niedługo najlepszym napastnikiem wśród trzecioligowców. To wielki talent".

TE zdania są fragmentem wywiadu, który wiosną 1960 roku katowicki „Sport" przeprowadził z sekretarzem HKS Siemianowiczanka — Karolem Machnikiem. Już wkrótce okazało się, że **ZYGMUNT MASZCZYK** będzie najlepszy nie tylko w trzeciej lidze. Z czasem stał się w ogóle jednym z najlepszych naszych piłkarzy. Warto chyba w okresie mistrzostw świata przypomnieć drogę piłkarza, który 18 razy wystąpił w pierwszej reprezentacji Polski, zdobył wraz z nią złoty medal olimpijski, a ostatnio, po prawie rocznej absencji w reprezentacyjnej drużynie, wspaniale gra na boiskach Stuttgartu i Monachium.

Jak większość małych chłopców na Śląsku, Zygmunt zaczynał kopać piłkę na podwórkach Siemianowic, kiedy nie chodził jeszcze do szkoły. Ponieważ strzelał dużo bramek i wybijał sporo szyb, rodzina orzekła, że lepiej byłoby i dla niej i dla sąsiadów, gdyby nad piłką „znęcał" się w klubie. W grę wchodził tylko jeden — **Hutniczy Klub Sportowy Siemianowiczanka.** Maszczyk grał w jego barwach od 1958 do 1963 roku. Pierwszym trenerem przyszłego mistrza olimpijskiego, kiedy ten występował jeszcze w drużynie trampkarzy, był **Hubert Bregoła.**

— Trampkarzem byłem przez niecałe dwa lata i prawdę mówiąc niewiele się przez ten czas nauczyłem — wspomina dziś Zygmunt, z którym spotkałem się w Rembertowie, przed wyjazdem ekipy na mistrzostwa świata. — **Trenerem, któremu zawdzięczam najwięcej, jest Jan Polok. To on nauczył mnie piłkarskiego abecadła, kiedy byłem już juniorem. Od tamtej pory zmieniły się metody szkolenia i piłkarskie systemy gry. Podstawy pozostały jednakże takie same. Podobnie jak przed laty uczy się prawidłowych uderzeń piłki, ustawiania się przy rzucie rożnym czy krycia przeciwnika. Przez 15 lat gry w piłkę miałem wielu trenerów, ale tego pierwszego nie zapomnę nigdy.**

DZIŚ **Jan POLOK** pracuje w siemianowickiej hucie „Jedność", a jego kontakt z futbolem ogranicza się do kibicowania swojej starej drużynie. Są jednak inni ludzie, pamiętający czasy debiutu Maszczyka. Wspomniany na wstępie **Karol MACHNIK** pełni dziś funkcję wiceprezesa klubu do spraw organizacyjnych. Jest on jednocześnie kronikarzem Siemianowiczanki. **Kazimierz GRABORZ** natomiast, dziś trener pierwszego zespołu, w 1960 roku był lewoskrzydłowym drużyny, w której Maszczyk na środku ataku stawiał pierwsze kroki. Praca dyplomowa Kazimierza Graborza, którą pisze w katowickiej WSWF, dotyczy w pewnym sensie kariery Maszczyka. Trudno o lepszych informatorów!

— Który z polskich piłkarzy, w niecałe dwa lata od przyjęcia do pierwszego trenera, może poszczycić się grą w reprezentacji kraju? — pyta Machnik. — **Zygmunt dokonał tej sztuki. Przyszedł do nas w 1959 roku, a w 1960, mając 15 lat, grał już w trzeciej lidze. W rok później, grając ciągle jeszcze w ataku, awansował do kadry Polski juniorów, wraz z takimi asami jak Marx, Kowalik i Hausner.**

— Pamiętam, w tym samym 1961 roku — dodaje **Kazimierz Graborz** — wyjechaliśmy na małe tournée do Czechosłowacji. Graliśmy z przeciwnikami, reprezentującymi podobny poziom jak my. Trener Nikiel, prowadzący wówczas zespół, oszczędzał Maszczyka, który był w naszym gronie najmłodszy. Wpuszczał go jedynie na pół meczu lub nawet na krócej. Nigdy nie zapomnę spotkania przeciw drużynie z miasta Frydek Mistek. Zygmunt w ciągu 15 minut strzelił przeciwnikom trzy bramki, w stylu, świadczącym o tym, że trzecia liga już wkrótce przestanie go zadowalać.

SAM Zygmunt Maszczyk, wspominając ten pierwszy szczebel kariery, o której jeszcze wtedy mu się nie śniło, uśmiechając się mówi, że była to po prostu dobra zabawa!

— Zaczynałem w 1959 roku na pozycji prawego obrońcy w drużynie trampkarzy. Namówili mnie koledzy z podwórka, bo żelazny prawy obrońca dostał w szkole dwóję i matka zabroniła mu grać w piłkę. W ten sposób, prawie mimo woli, zdobyłem z drużyną mistrzostwo Śląska. Mniej więcej w tym samym czasie zdarzało mi się grać i po dwa mecze dziennie. Pamiętam taką niedzielę, kiedy dwukrotnie wystąpiłem na boisku w turnieju o Puchar Siemianowic: — o 11 w trampkarzach na stoperze, a o 14 w juniorach na środku ataku.

Wtedy grało się wyłącznie dla przyjemności. Nawet porażka nie była tak bolesna, przynajmniej ze strony kibiców. Z czasem jednak, kiedy byłem coraz bardziej znany i to nie tylko na Śląsku, coraz więcej też ode mnie wymagano. Błędy, które robiłem jako junior, w późniejszym okresie były nie do wybaczenia. Kibice, którzy bili mi brawa po zdobyciu bramki, domagali się mojego zejścia z boiska po każdym kiksie. Taki to już los piłkarza. Ja, na szczęście, częściej dostawałem brawa.

Lata 1962 i 1963, to okres gry Maszczyka w trzeciej lidze, w pierwszym zespole Siemianowiczanki. Są to zresztą jego dwa ostatnie lata pobytu w tym klubie, lata, w których na czoło wspomnień wysuwają się dwa mecze — z chorzowskim Ruchem i z GKS Gliwice. Dla historii piłkarstwa w Polsce oba nie miały i nie mają znaczenia. Takich meczów są tysiące w każdym roku. Dla poszczególnych miasteczek jednak...

Przecież każdy mały klub w Polsce ma takie swoje mecze, które wspomina latami. Dla Mazura Karczew może to być spotkanie o Puchar Polski z Ruchem Chorzów i Stalą Rzeszów, dla Czarnych Żagań — finał tego samego Pucharu z Górnikiem, dla zespołu Wicher z Kobyłki — walka z Wyszkowem, decydująca o spadku z klasy „C". O takich meczach mówi się zwykle miesiącami w zakładach fryzjerskich Warszawy i Piaseczna, Żagania i Mszany Dolnej.

Dla Siemianowic takimi meczami było zwycięstwo nad Ruchem (13 marca 1963 roku) i sukces w Gliwicach. W pierwszym spotkaniu siemianowiczanie wygrali 4:3, mimo że Ruch przyjechał w najsilniejszym składzie. Drugi mecz to już walka o punkty w trzeciej lidze z gliwickim GKS. Gliwiczanie wystąpili między innymi z **Włodzimierzem Lubańskim, Joachimem Marxem,** których gwiazdy dopiero wschodziły oraz **Kuchtą** i **Hankem.** W Gliwicach do tego dnia mało kto wygrywał. A jednak Siemianowiczanka zdobyła sześć bramek, a atak z Lubańskim — żadnej. W pierwszym meczu Maszczyk zdobył jednego gola, w drugim — dwa. W tym samym czasie w drużynie z Siemianowic grał już **Józef Bon,** a w zespole juniorów — bracia **Białasowie — Stefan i Jan.**

W 1963 roku Zygmunt Maszczyk przeszedł do Ruchu. Stało się więc to, czego obawiali się działacze Siemianowiczanki i z czym dla dobra chłopaka musieli się pogodzić. Wprawdzie nauki **Poloka, Breguły, Giebura, Nikiela i Jandudy** dały mu bardzo dużo, ale... uczeń przewyższył mistrzów. Dalszy jego rozwój mógł odbywać się tylko w większym klubie i z lepszymi, pierwszoligowymi partnerami. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, toteż nikt w rodzinnym mieście nie miał do Zygmunta pretensji.

Mistrzostwo i Puchar Polski, udział w walce o europejskie puchary — wszystkie sukcesy Ruchu w ostatnim dziesięcioleciu są również udziałem Maszczyka. Są to jednak wydarzenia znacznie nam bliższe i lepiej kibicom znane. Wszyscy wiemy też, że Zygmunt Maszczyk, mimo że w drużynie na mistrzostwa jest najstarszy wiekiem, gra jak gdyby miał ciągle 20 lat. Jego pozycja w zespole narodowym jest niepodważalna. Najlepszy dowód na to dał swoją wspaniałą grą w meczu z Argentyną.

Jego pierwszy klub — **HKS Siemianowiczanka** — zrzesza dziś kilkuset członków w ośmiu sekcjach. Hokeiści na trawie grają nawet w pierwszej lidze. Piłkarze — niestety, tylko w lidze okręgowej. W sekcji piłkarskiej jest jednak ponad stu zawodników w drużynach seniorów, juniorów i trampkarzy. Ci ostatni należą zresztą do najlepszych na Śląsku. Czy z ich grona wyjdą następcy **Maszczyka,** trudno na razie powiedzieć. Jeśli jednak praca z nimi będzie przebiegać tak dobrze jak dotychczas, o przyszłość piłkarstwa na Śląsku (trochę ostatnio zachwianą) możemy być spokojni i my i sam mistrz — **Zygmunt Maszczyk.**

STEFAN SZCZEPŁEK

Zygmunt Maszczyk (z lewej) i Franz Beckenbauer w meczu rozegranym w 1971 roku w Warszawie. Czy zagrają przeciwko sobie w RFN...

Fot. Jan Rozmarynowski

Bez LUBAŃSKIEGO...

PIŁKA NOŻNA — choć to sport zespołowy — jest tą dziedziną kultury fizycznej, która w sposób najbardziej widoczny kreuje **GWIAZDY, LIDERÓW, PIŁKARZY — JAKICH NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ.**

Zadając więc retoryczne pytanie, czym byłaby Brazylia bez Pelego, Hiszpania bez Di Stefano, Francja bez Kopy, a Anglia bez Bobby Charltona i Moore'a nie można nie zapytać — **CZYM JEST POLSKA BEZ LUBAŃSKIEGO?**

Włodzimierz Lubański, 27-letni zawodnik Górnika Zabrze, 67-krotny reprezentant kraju w meczach międzypaństwowych, najlepszy w historii polskiego futbolu strzelec, wreszcie poprzedni kapitan zespołu biało-czerwonych, w finałach mistrzostw świata ani razu nie wybiegnie z kolegami na murawę boiska. Nasza reprezentacja musi o każdy punkt, o każdą bramkę walczyć bez tak silnego atutu. Bez piłkarza, na którego miejsce niełatwo było znaleźć wartościowego zastępcę.

Pisanie o czymś tak oczywistym, jak talent, sztuka gry w piłkę Włodzimierza Lubańskiego jest zajęciem szalonym, bowiem największe nawet komplementy i pochwały nie zastąpią jego obecności. Jeżeli więc zdecydowałem się poświęcić temu piłkarzowi kilka stron tekstu, to dlatego, by w imieniu tysięcy, może nawet milionów miłośników jego gry, podziękować mu za to co zrobił i aby wesprzeć go w niewątpliwie najtrudniejszym okresie sportowej kariery, w czasie pomyślnie przebiegającej rekonwalescencji. **O Lubańskim pisać trzeba!**

Kibice nazywają go po prostu: **WŁODEK.** Nie zdołano mu wymyślić żadnego obrazowego przydomka, może dlatego, że Lubański nie dorastał jako piłkarz, nie zdobywał mozolnie sławy. On po prostu zjawił się, i już był.

Miał zaledwie 16 lat, kiedy w towarzystwie kilku rutyniarzy rozbił w puch w roku 1963 drużynę Norwegii. 9:0 — takim rezultatem zakończyło się spotkanie, które po dziś dzień jest najwyższym zwycięstwem naszej reprezentacji i najdotkliwszą porażką Skandynawów. Lubański w tym meczu zdobył jednego gola. I tak już miało pozostać — zawsze, kiedy przekraczał próg kolejnego „piłkarskiego uniwersytetu", stawał się prymusem.

Górnik Zabrze, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych jedna z najlepszych drużyn Europy, zaczął odnosić międzynarodowe sukcesy, przechodząc zwycięsko eliminacje Klubowego Pucharu Europy, co przez dziesięć z okładem lat było barierą, której nie udało się sforsować żadnej innej naszej jedenastce. **Lubański w tym ważnym dla polskiego futbolu okresie odgrywał rolę pierwszoplanową, jeśli nie najważniejszą.**

W pamięci, jak każdy kto interesował się karierą Włodka, zachowałem kilka spotkań, w których piłkarz ten wzniósł się na wyżyny dostępne tylko dla nielicznych — tych naprawdę najlepszych piłkarzy.

Górnik na Stadionie Śląskim gra z CSKA Sofia. Ćwierćfinał Pucharu Zdobywców Pucharów: spotkanie rewanżowe. W pierwszym Bułgarzy wygrali 3:2. Górnicy muszą więc wygrać, by awansować dalej. Ale przecież CSKA to również znakomity zespół. „Gundi" Asparuchow bez trudu wygrywa pojedynki główkowe ze Stanisławem Oślizło, choć to jeden z najlepszych, grających głową obrońców w Europie. Mecz jest trudny. Pomimo prowadzenia 1:0, gospodarze mają wielkie kłopoty z utrzymaniem w ryzach bułgarskiego ataku. I właśnie wówczas, w okresie wyraźnej przewagi CSKA, Lubański, grający — jak to często bywało — po kontuzji, **dokonuje wyczynu niebywałego. Otrzymawszy piłkę, w pełnym biegu mija na linii środkowej bułgarskiego obrońcę i w sobie tylko wiadomy sposób wyciąga bramkarza na pole karne, jednocześnie strzelając z ogromną siłą i precyzją w światło bramki, tuż obok słupka.** To nie była „sztuczka" przypadkowa. Po dwóch miesiącach w identyczny sposób (!) zdobywa prowadzenie dla Górnika w jednym z najcięższych meczów zabrzańskiego zespołu, w Strasburgu, z FC Roma. Był Lubański zresztą prawdziwym postrachem tej drużyny.

W meczu chorzowskim (dwa tygodnie wcześniej) strzelił dwie bramki. Podziwiać precyzję jego strzałów — to za mało. Bo wyobraźmy sobie, że w meczu „o wszystko" do 90 minuty drużyna przegrywa 0:1. I właśnie wtedy sędzia przyznaje rzut karny... Nie ma ochotników do wykonania strzału z odległości 11 metrów, choć to podobno 99 szans przeciwko jednej bramkarza. **Lubański potrafił w takiej chwili opanować nerwy. Potrafił również „pójść za ciosem", poderwać drużynę do ofensywy, umiał umieścić piłkę w sieci, znajdując się niemal na linii autowej boiska, co przeczy niewzruszalnym prawom fizyki...**

MÓWIĄC prawdę, przyzwyczailiśmy się do wielkości Lubańskiego tak dalece, że niekiedy siedząc na trybunach zapominaliśmy o tym, że nie można zawsze dokonywać rzeczy wielkich, na zawołanie, bowiem wtedy wielkość blednie.

To paradoksalne, lecz najwybitniejszy polski piłkarz był chyba najczęściej wygwizdywany przez uwielbiającą go publiczność. Słabsza dyspozycja Lubańskiego niosła za sobą grad obelg, przed którym, nawet gdyby chciał, nie mógłby się ukryć.

Do historii przejdzie np. afera „czystych spodenek". W pucharowym, trzecim z kolei spotkaniu Górnika z Manchesterem City w roku 1971, Lubański wyszedł na boisko chory, na dobrą sprawę niezdolny do gry. Ale grać musiał! Żądali tego kibice, doskonale zdając sobie sprawę, że jedynie on może zapewnić zwycięstwo i w jego następstwie awans o szczebel wyżej w międzynarodowej hierarchii. Bo przecież dwa tygodnie wcześniej ten sam, chory Włodek Lubański zdobył jednego gola, drugiego „wyłożył" na nogę Wilczkowi, a przy odrobinie szczęścia mógł raz jeszcze wpisać się na listę strzelców.

Czemu więc, u diabła, w Kopenhadze nie angażuje się w walkę o każdy metr grząskiej ziemi, czemu unika ostrych starć z angielskimi obrońcami? Przecież futbol wymaga ofiar. I wreszcie dlaczego on jeden gra w czystych spodenkach, skoro na boisku błota jest po kolana i wszyscy, chcąc nie chcąc, taplają się w mazi niczym na kuracji w Iwoniczu? Tylko on jeden nie!

Można zatem mówić o pechu, jaki prześladuje Lubańskiego w ciągu jedenastu lat występów na boisku. Nigdy bowiem za swoje piłkarskie umiejętności, najwyższe, jakie kiedykolwiek prezentował polski zawodnik, nie otrzymywał pełnej satysfakcji! Kiedy miał lat dwadzieścia i grał ładnie oraz skutecznie — niemrawi koledzy z zespołu niweczyli jego starania. Reprezentacja przegrywała częściej niż zwyciężała. Później, kiedy nastała „era Górskiego" i futbol pięknie się nam rozwinął, Lubański także, choć wielce niesłusznie, pozostawał w cieniu innych kolegów.

Na Olimpiadzie Kazimierz Deyna — którego umiejętności nie mam zamiaru podważać; obyśmy mieli tylko więcej takich piłkarzy — osiągnął szczytową formę, został królem strzelców i wygrał dla Polski złoty medal olimpijski, pakując Gecziemu dwa gole w finałowym pojedynku z Węgrami. W plebiscycie „France Football" zajął lokatę szóstą, przed Lubańskim. **A jednak nie Deynę, tylko Włodka powołał do reprezentacji Europy Helenio Herrera na mecz z Ameryką Południową, który w trzy tygodnie po Igrzyskach rozegrany został w Bazylei.** Trudno posądzać „maga" Helenio o sympatię dla Lubańskiego. **Lubański nie zawiódł. Polski piłkarz grał znakomicie, lepiej od Cruyffa, co wydaje się wielu rzeczą niemożliwą, a jednak tak właśnie było.**

WŁODEK Lubański nie gra na boiskach Stuttgartu i Monachium. Oznacza to stratę dla polskiej reprezentacji ogromną. Jest jednak duszą i sercem przy kolegach. Obiecuje, że przyjedzie na ich mecz finałowy. Włodek nie grał też na Wembley, ale... nie zapominajmy, że przedtem był Chorzów. Mecz najważniejszy w ubiegłorocznych eliminacjach, bo mecz, który Polacy wygrać musieli. **Mecz ten wygrał Lubański!** On był najtrudniejszym do upilnowania polskim piłkarzem, on doprowadził do rzutu wolnego, który Gadocha wykonał niczym Garrincha, i nie kto inny ośmieszył Bobby Moore'a i pozbawił najlepszego piłkarza Albionu miejsca w reprezentacji, które zdawało się — zajmować będzie zawsze.

W tym spotkaniu Włodzimierz Lubański otworzył polskim piłkarzom drogę do finałów i zamknął ją sobie. Zniesiono go z boiska i od tej pory nie widzieliśmy piłkarza Lubańskiego na boisku. Owszem, pokazał się dwa razy publiczności, ale to nie był zdrowy Włodek.

— Nie startuję w mistrzostwach świata — mówił **Lubański.** — Nie nadaję się do gry. Próbowałem wszystkich możliwości, łapałem każdą szansę powrotu na boisko, jaka tylko była. Wszystko na nic. To nie pech, to mój dramat. Bo tak bardzo chciałem grać w drużynie, która skutecznie obaliła mit o przeciwnikach nie do pokonania.

JANUSZ ATLAS

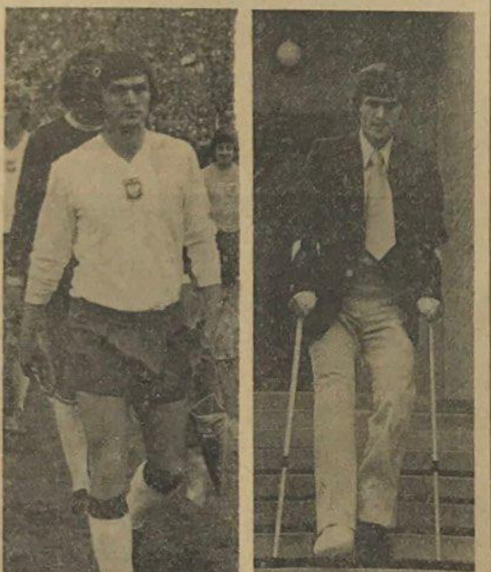

Włodzimierz Lubański (na zdjęciu z lewej) wyprowadza naszą jedenastkę do walki z Anglią na Stadionie Śląskim. Drugie zdjęcie zrobione zostało już po 6 czerwca 1973 roku. Efekty starcia z Mc Farlandem widoczne są niestety do dziś...

Fot. CAF i Tomasz Prażmowski

FOTO-KRONIKA X MŚ 74

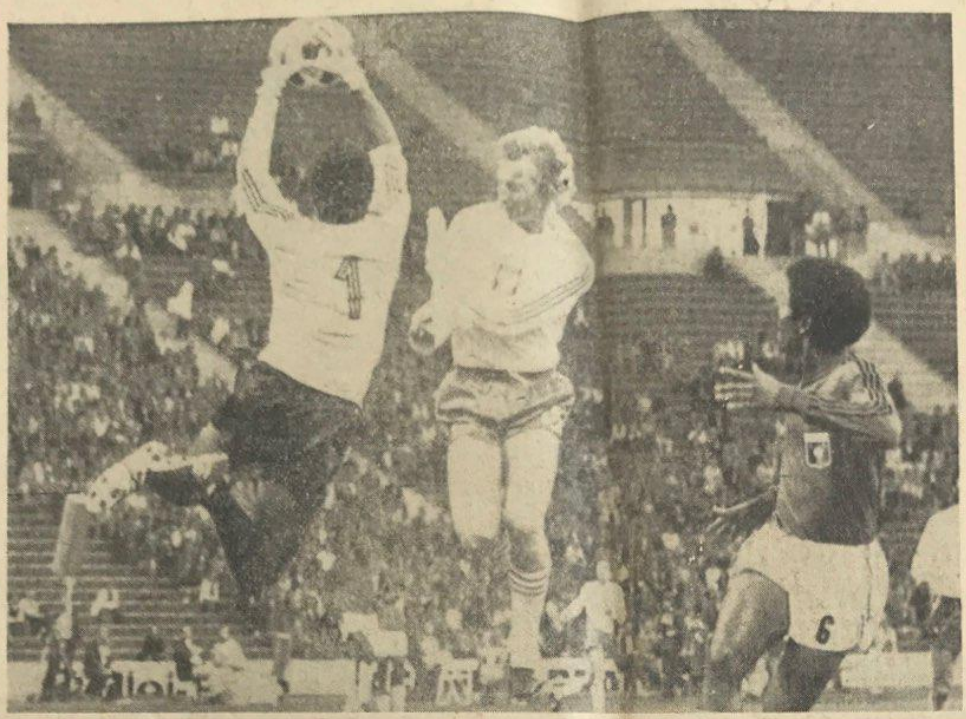

Andrzej Szarmach (w środku) był w meczu z Haiti najskuteczniejszym naszym napastnikiem. Po pierwszej rundzie mistrzostw piłkarz z Zabrza zajmuje wraz z Grzegorzem Lato czołową pozycję w tabeli najlepszych strzelców. Z lewej Francillon, z prawej Bayonne.

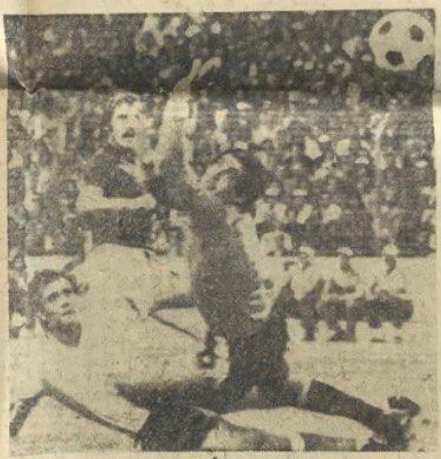

Żółta kartka dla Rivelino (nr 10) za jego nieprzepisowy atak na Billy Bremnera. Polska drużyna jest jedną z nielicznych, której piłkarze nie zostali ukarani przez sędziego. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mieli duże szanse na zdobycie Pucharu Fair Play.

W takich okolicznościach Romeo Benetti zdobył gola dla Włochów w ich meczu z Argentyną. Leży niefortunny współautor bramki Perfumo. Z prawej Carnevali.

Grzegorz Lato, Jerzy Gorgoń i Kazimierz Deyna — każdy z nich wpisał się w meczu z Haiti na listę strzelców.

Kilka bramek w środowym meczu padło po dośrodkowaniach Roberta Gadochy. Z prawej Andre i Bayonne.

Wszystkie zdjęcia CAF

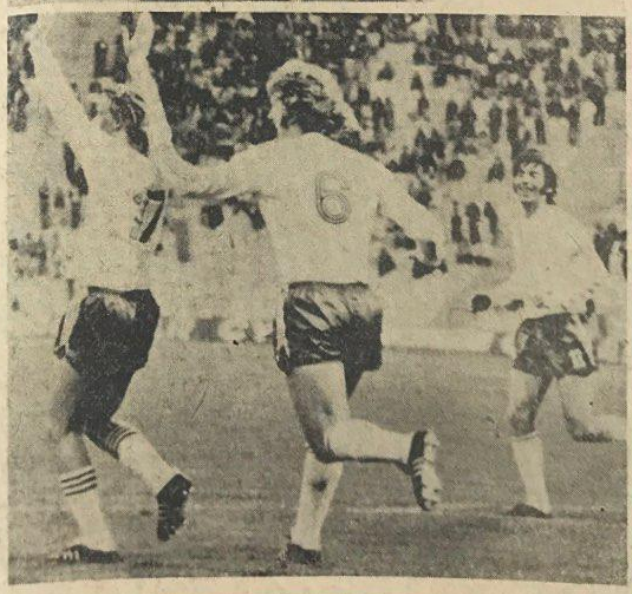

Johan Cruyff (z lewej z numerem 14) potwierdza w każdym meczu swą wielką klasę. Tu widzimy go w ataku na szwedzkiego bramkarza Hellstroema. Z prawej obrońca „trzech koron" Tapper.

Nasi specjalni wysłannicy na X Mistrzostwa Świata relacjonują:

Na trasie MONACHIUM-MURRHARDT

ZIELONA NOC

JACEK GMOCH przed każdym meczem spotyka się z dziennikarzami. Trener Górski upoważnił go do rozmów z prasą na temat tego „co ma być grane". Znając choćby tylko w ogólnych zarysach założenia taktyczne, inaczej patrzy się na walkę, inaczej ocenia się to co się dzieje na boisku.

Przed meczem z Haiti interesowało nas przede wszystkim jak nastawiono drużynę, na ile liczono się poważnie z niebezpieczeństwem. Kiedy Gmoch, tak jak potrafi, z pasją i konkretnie mówił o indywidualnych zadaniach dla Żmudy, Kasperczaka i Szymanowskiego, konieczności strzałów z daleka, możliwościach przewagi w grze głową, pressingu i różnych wariantach ustawienia w wypadku niekorzystnego dla nas wyniku, wiadomo było nie tylko „co ma być grane", lecz również istniała pewność, że nikt tego meczu nie będzie lekceważył.

STREJLAU NIE MOŻE SPAĆ

Najgorsze są godziny między obiadem a meczem. Właściwie nie ma co robić. Nazywa to się odpoczynkiem. Niektórzy śpią, chociaż trenerzy wcale tego nie zalecają.

Przed pojedynkiem z Haiti, drużyna dzień wcześniej wyjechała do Monachium i zamieszkała w Olimpia Park Hotel w dawnej wiosce olimpijskiej. Pokój nr 119 należał do Jacka Gmocha i Andrzeja Strejlaua. Odwiedziłem go trochę z ciekawości, by się przekonać, co robią trenerzy, a trochę z konieczności. Nie miałem co z sobą zrobić, a nie chciało mi się włóczyć po mieście.

Jacek Gmoch niespokojnie kręcił się po pokoju. Przekładał jakieś papiery, czegoś szukał. Pokazał mi gazetę z artykułem o sobie, kazał przeczytać kopię artykułu o angielskiej piłce nożnej, zamówionego przez prasę brytyjską. Wreszcie zestawił dwa fotele, usiadł, wyciągnął nogi i usiłował się zdrzemnąć.

Andrzej Strejlau po obiedzie położył się do łóżka.

— Niestety, nie mogę zasnąć — mówił. — **Zresztą, chłopcy dzisiaj źle spali. W Murrhardt czują się jak w domu. Tutaj niezbyt dobrze.**

— Denerwuje się Pan przed meczem?...

— **I tak i nie. Rozsądek mówi, że nie warto. Widziałem drużynę Haiti z bliska, bo moja młodzieżówka spotkała się z nią w Port-au-Prince. Mamy dokładne rozeznanie sił zrobione przez Jacka i trenerów Steckiwa oraz Wieczorka. A jednak... Niedobre są takie mecze, bowiem chłopcy wiedząc przecież, że są lepsi, mogą zupełnie podświadomie nie tyle może lekceważyć przeciwnika, co grać z mniejszą pasją. Pocieszam się tylko faktem, że dla Haiti będzie to pojedynek o wszystko, a dla nas praktycznie rzecz biorąc o awans do drugiej rundy.**

— Wygramy — wtrącił niby to drzemiący Jacek Gmoch.

— **Wcale w to nie wątpię, ale wolałbym być już na boisku** — odparł Andrzej Strejlau. — **Musimy jeszcze chłopcom przypomnieć zadania.**

— Ja zrobię to po podwieczorku.

— **Ja już na rozgrzewce...**

W pewnym momencie ktoś zapukał. Wszedł Grzegorz Lato. Zapytał o plan transmisji telewizyjnych. Po co mu transmisje, skoro nie będzie miał okazji zasiąść przed odbiornikiem?... Wydaje mi się, że chciał zapytać o coś innego, ale widząc mnie, w ostatniej chwili zmienił temat.

— **Spałeś?** — spytali trenerzy.

— Nawet całkiem dobrze.

BO POLSKA UMIE W PIŁKĘ GRAĆ...

Piosenka „Eviva Espana" ciągle utrzymuje się na liście szlagierów. Radosna melodia każdemu wpada w ucho.

Doszły nas jednak głosy z Polski, że kibice zmienili słowa popularnej piosenki i śpiewają tak jak piłkarze, że **„Polska umie w piłkę grać — Eviva Polonia!"**. Słusznie. O ile po pierwszym meczu mógł mieć ktoś jeszcze wątpliwości, to festiwal strzelecki w spotkaniu z Haiti oraz obserwacje innych zespołów uzasadniają wysokie mniemanie o sobie.

Przyznam się, że ostatniego kwadransa pojedynku Haiti — Polska nie widziałem, bo pobiegłem do telewizora, by śledzić to co się działo w Stuttgarcie. Spotkanie Argentyna — Włochy i jego rezultat pozwalały snuć rozważania na temat kolejności drużyn w IV grupie i ewentualnych planów taktycznych na później. Utrzymujący się remis był nam jak najbardziej na rękę. Straciłem co prawda ostatnią bramkę, siódmą z kolei, strzeloną Haitańczykom przez Latę, ale miałem pewność, że spełniły się nasze plany i marzenia i jesteśmy już w ósemce najlepszych drużyn świata, a do dalszej walki wystartujemy z bardzo dobrej pozycji.

W naszym meczu denerwujące były tylko pierwsze minuty, potem trwała zabawa w kotka i myszkę.

WESOŁY AUTOBUS

— **Do góry trenera!** — zawołał attache Henryk Loska, i mimo protestu Kazimierza Górskiego razem z kierownikiem drużyny Edwardem Dębickim dźwignął go w górę.

— **Ale teraz Włosi się trzęsą!** — śmiał się Gorgoń. — **Co Pan sądzi o mojej bramce?** — pytał. — **Mówią, że mi trochę piłka zeszła z nogi, a to był właśnie brazylijski fałsz. Piłka szła prosto, a w ostatniej chwili, jak zdalnie sterowana, skręciła w sam róg.**

W szatni ogólna wesołość, gratulacje, uściski. Uradowany prezes Polskiej Federacji Sportu, Stanisław NOWOSIELSKI przyznaje, że co prawda plan wykonano, ale teraz trzeba walczyć o wysoką lokatę.

— Co się Pan martwi, panie Jacku — pyta Szymanowski zadumanego Jacka Gmocha.

— **Właśnie zadumałem się nad następnym meczem z Włochami. Haiti to dla mnie zamknięty rozdział.**

— Karton papierosów na ławkę na każdy mecz! — mówi groźnie Andrzej Strejlau.

— **Tak jest, panie trenerze!** — odpowiada pokornie Andrzej Zawada, który jak każdy finansowiec potrafi być skąpy do nieprzyzwoitości.

— **Chłopaki, żony przyjeżdżają na finały!** — wykrzykuje któryś z kawalerów.

POSTANOWIONO po kolacji wracać do Murrhardt, a że po zwycięstwie myśli się tylko o rzeczach przyjemnych, więc nikt się nie przejmował, że już bardzo późno, a kolację w restauracji Olimpia Park Hotel podają bardzo powoli.

Dopiero o godzinie 24.00 wyruszył nasz autokar. Była możliwość noclegu, ale nikt nie chciał o tym słyszeć. Co prawda perspektywa czterech godzin w autobusie nie była zachęcająca, ale każdy liczył, że sobie spokojnie podrzemie.

— **Muzyka!** — zawołał ktoś do pilota, a ten natychmiast włączył kasetę z ulubionymi nagraniami. No i się zaczęło. „Funio" Bulzacki stanął w środku autokaru i udawał solistę. Wszyscy śpiewali refreny. Gorgoń i Fischer ruszyli w tany. O jakimkolwiek drzemaniu nie było mowy. Po serii szlagierów z magnetofonów Deyna zarządził śpiewy

— **„Niech żyje nam nasz trener!...**

— **„A jak trener nie może, nie może, to mu Jacek pomoże, pomoże. A jak Jacek nie może, to mu Strejlau pomoże..."**

Było wszystko. I czastuszki i o „Kaśce we młynie". Rej wodził Adam Musiał, wtórowali mu wszyscy. Nie spodziewałem się, że pierwszą noc po sukcesie tak wesoło spędzą piłkarze. Rozśpiewany, wesoły autobus pędził autostradą w asyście dwóch wozów policyjnych. Tylko się skończyła piosenka, już Adam zaczynał drugą.

Zielona noc trwała do białego rana. O świcie dotarliśmy do Murrhardt, a tam niespodzianka. Właściciel Bofinger wraz z małżonką, mimo że byli na meczu, już zdążyli wrócić i w progu wraz z całym personelem witali zwycięzców. W sali telewizyjnej nakryte stoły, biało-czerwone goździki w wazonach. Białe obrusy i czerwone serwetki. To skarbnik PZPN Klemens Nowak, zadbał, aby narodowe barwy były wyeksponowane. Na stołach gorąca herbata, soki, karafki i specjalnie upieczone torty.

W autobusie żałowałem, że nie mam ze sobą magnetofonu. Tutaj, aż prosiło się także o kamerę filmową z kolorową taśmą...

*

Liczyłem na awans Polaków do następnej rundy, ale nie spodziewałem się, że w takim stylu osiągną pierwszy sukces.

STEFAN GRZEGORCZYK

POLSKA—HAITI 7:0 (5:0)

1:0 — Lato (16), 2:0—Deyna (18), 3:0 — Szarmach (29), 4:0 — Gorgoń (32), 5:0 — Szarmach (34), 6:0 — Szarmach (51), 7:0 — Lato (87). Sędziowali: Suppiah (Singapur) jako główny oraz Biwersi i Eschweiler (obaj RFN) jako liniowi.

POLSKA: Tomaszewski — Szymanowski, Gorgoń, Żmuda, Musiał (od 73 min. Gut) — Maszczyk (od 35 min. Ćmikiewicz), Deyna, Kasperczak — Lato, Szarmach, Gadocha.

HAITI: Francillon — Bayonne, Nazaire, Vorbe, Auguste — Antoine, Roger St. Vil, Desir, Andre (od 38 min. Barthelemy) — Sanon, Francois.

AKCJE ROSNĄ

PRZYPOMINAMY, że w meczu Haiti—Włochy do przerwy był rezultat 0:0, a później Sanon „odczarował" bramkę Zoffa. Toteż gdy na Neckarstadionie podczas przerwy w spotkaniu Argentyna—Włochy na świetlnej tablicy ukazała się wiadomość, że w Monachium Polska prowadzi 5:0, widownia zareagowała gorącym, jakże przyjemnym dla nas szmerem podziwu **„Polacy grają nad podziw dobrze"** — stwierdzano ze wszystkich stron, składano nam gratulacje. Siedzący obok mnie dziennikarz belgijski mówi: **„Jesteście dla mnie czarnym koniem mistrzostw"**. No może przesada, ale oby słowa mojego sympatycznego rozmówcy się sprawdziły...

POLSKA jako drugi, obok gospodarzy, zespół X Mistrzostw Świata zakwalifikowała się do dalszej rundy już po drugiej kolejce meczów. To zrobiło wrażenie. Nie możemy się opędzić od skądinąd miłych kolegów, którzy żądają od nas maksimum informacji o naszym zespole, o sposobie przygotowania, o poszczególnych zawodnikach. Przyjemne to ale uciążliwe i pracochłonne. Niemniej robimy, co możemy. Jeśli chodzi o materiały propagandowe, to nasze foldery, tudzież specjalne wydanie „Piłki Nożnej" cieszą się tu olbrzymim wzięciem. Byliśmy bodaj pierwszą ekipę, która przyjechała i przedstawiła tak bogaty materiał o sobie. Lecz to wszystko mało, żądają stale jeszcze więcej...

INTERESUJĄCA była wypowiedź Vladislao Capa na temat naszej drużyny: **„Gdyby Italia grała z Polską tak jak z nami, to z pewnością nie miałaby żadnych szans. Jestem głęboko przekonany o wysokich kwalifikacjach moralnych Polaków i dlatego uważam, że ze względów taktycznych nie przegrają świadomie meczu z Włochami".**

NA giełdzie notowania drużyn zmieniają się niemal codziennie. Przed rozpoczęciem turnieju najwyżej notowano RFN, Włochy, Brazylię. Po pierwszej serii spotkań na czoło wysunęły się Holandia, Jugosławia, Polska. Po drugiej — tendencje zniżkowe panują odnośnie Holendrów, **utrzymał się wysoki kurs dla Jugosławii i Polski. Poszły nieco w górę akcje gospodarzy.** To są bardzo wymowne konkrety. Ile nadziei i rozczarowań, wzlotów i upadków, radości i łez...

FERRUCIO VALCAREGGI, który jeszcze kilka tygodni temu bardzo sceptycznie wyrażał się o naszym zespole, zmienił obecnie zdanie: **„Nie wiem czy się nie myliłem, w każdym razie zdaje się, że nie rozszyfrowałem waszych istotnych możliwości i umiejętności. Z pewnością trzeba was zaliczyć do ścisłej czołówki turnieju. Wydaje się, że potrafiliście trafić z formą na odpowiedni moment."**.

SANDRO MAZZOLA jest wyjątkowo sympatyczną postacią. Włosi grają bardzo nieprzyjemnie. Faule są dyskretne ale uciążliwe i przykre, utrudniają rozwinięcie akcji przeciwnikowi. Jedyny bodaj wyjątek wśród nich stanowi Sandro Mazzola. Niezwykle ambitny, szybki, bojowy, ale jednocześnie grający bardzo czysto i dlatego też chyba cieszy się sympatią cudzoziemców. Jest niezwykle szczery i bezpośredni. Nie ma nic z manier primadonny, a przecież takie cechy można zauważyć u innych jego kolegów, między innymi u Rivery i Rivy.

M. S.

II SERIA

BRAZYLIA — SZKOCJA 0:0.
Sędziował: van Gemmert (Holandia).

RFN — AUSTRALIA 3:0 (2:0).
1:0 — Overath (12), 2:0 — Cullmann (35), 3:0 — Mueller (53). Sędziował: Kamel (Egipt).

NRD — CHILE 1:1 (0:0).
1:0 — Hoffmann (55), 1:1 — Ahumada (69). Sędziował: Angonese (Włochy).

JUGOSŁAWIA — ZAIR 9:0 (6:0).
1:0 — Bajević (7), 2:0 — Dżajic (13), 3:0 — Surjak (17), 4:0 — Katalinski (21), 5:0 — Bajević (28), 6:0 — Bogicević (34), 7:0 — Oblak (60), 8:0 — Petković (62), 9:0 — Bajević (69). Sędziował: Delgado (Kolumbia).

POLSKA — HAITI 7:0 (5:0).
1:0 — Lato (16), 2:0 — Deyna (18), 3:0 — Szarmach (29), 4:0 — Gorgoń (32), 5:0 — Szarmach (34), 6:0 — Szarmach (51), 7:0 — Lato (87). Sędziował: Suppiah (Singapur).

WŁOCHY — ARGENTYNA 1:1 (0:0).
0:1 — Houseman (19), 1:1 — Perfumo (34, samobójcza). Sędziował: Kazakow (ZSRR).

HOLANDIA — SZWECJA 0:0.
Sędziował: Winsemann (Kanada).

BUŁGARIA — URUGWAJ 1:1 (0:0).
1:0 — Bonew (75), 1:1 — Pavoni (86). Sędziował: Taylor (Anglia).

Starcie ZAGALI z ORMONDEM

KONFERENCJA prasowa po meczu **Brazylia—Szkocja** zakończyła się małym skandalem — **scysją pomiędzy trenerami obu zespołów: Mario ZAGALO i Willy ORMONDEM.** Obaj zaczęli sobie zarzucać brutalną grę swoich zespołów, ku uciesze i zdumieniu zebranych dziennikarzy i obserwatorów. To było bodaj jedyne wydarzenie, które poruszyło zebranych. Nie uczynił tego z pewnością przebieg wydarzeń na boisku. Spotkanie było bardzo jałowe, stało na średnim poziomie. Większość postronnych znawców wspominała w tym kontekście z przyjemnością przebieg i poziom meczu Polska—Argentyna.

Tak, tak, proszę Czytelników — takie tu jest powszechne odczucie. **Spotkanie mistrzów świata z jedynymi przedstawicielami Wysp Brytyjskich, krótko mówiąc, rozczarowało!** Można by od biedy wybaczyć obu zespołom ostrożną, asekuracyjną grę, atakowanie niemal wyłącznie tylko dwoma napastnikami, ale jak tłumaczyć chamstwo i boks?!

„Trup" padał gęsto. Starcia dwóch skądinąd znakomitych piłkarzy, jak **Rivelino i Bremner** zamieniały się w walkę, która przypominała bardziej ring niż boisko piłkarskie. Pojedynek ten (pięściarski) należy ocenić na remis. W relacji drużynowej wygrała — o dziwo! — Brazylia. Podopieczni trenera Zagalo podjęli rękawicę rzuconą przez przeciwników, potem raz po raz byliśmy świadkami, jak bardziej rośli Szkoci z trudem wstawali z murawy po starciach z wirtuozami Płd. Ameryki.

Szkoci, jak można było tego oczekiwać, zagrali szablonowo, stosunkowo wolno. Ale że Brazylijczycy nie wnieśli nic nowego, ożywczego, oryginalnego — no, to już koniec świata! Przez cały niemal czas byliśmy świadkami nudnej, pozycyjnej gry. Dopiero pod koniec spotkania kilka szybkich, efektownych ataków zademonstrowali Szkoci. Po raz drugi, podobnie jak w meczu z Jugosławią, mistrzowie świata nie wytrzymali meczu kondycyjnie. Okazało się, że trzymiesięczne zgrupowanie na obozach nie przyniosło pożądanego efektu. Po raz drugi szczęście uchroniło ich od porażki. Wspaniałe okazje zmarnowali czołowi zawodnicy Wyspiarzy — **Bremner i Lorimer.** Trzeba jednak zaznaczyć, że w przekroju całych 90 min. pojedynek ten był bardzo wyrównany.

W I połowie więcej okazji do zdobycia bramki miała Brazylia. Nie wynikało to z jakiejś dobrej gry, lecz z widocznego postępu, jaki poczynili wirtuozi zza Atlantyku w umiejętnościach strzeleckich. **Strzały w ich wykonaniu są rzeczywiście imponujące, mają siłę, celność i z reguły są wykonywane z rotacją.** Ale to prawie wszystko, co można powiedzieć dobrego o obrońcach tytułu.

Technikę — wiadomo — mają dobrą, ale niewiele więcej można dodać. Widzimy kilka wybitnych indywidualności, ale nie dostrzegamy wybitnego zespołu. Co mówić o napastnikach, którzy w dwóch meczach nie zdobyli ani jednej bramki? Wynika z tego pozorny paradoks w zestawieniu z tym, co poprzednio mówiliśmy o walorach strzeleckich. Nie mogąc sforsować linii obrony przeciwników, zmuszeni są do strzelania z dystansu.

W zespole Brazylii w tym meczu wyraźnie zawiódł **Jairzinho**. Wyłączenie z gry **Rivelino** — a uczynił to z powodzeniem **Bremner** — oznaczało brak dyrygenta, chaos i przypadkowość w rozwijaniu akcji. Po prostu Brazylia nie ma drugiego zawodnika, który po tym arcymistrzu mógłby przejąć ciężar gry na swoje barki.

W Szkocji klasą dla siebie był mały, rudy **Bremner.** Wystartował nie najlepiej, ale po 20 minutach stał się centralną postacią i głównym spiritus movens swego zespołu. Groźnymi strzałami popisywał się **Lorimer**, kilka bardzo udanych interwencji miał **bramkarz Harvey.**

Mecz toczył się w gorącej atmosferze. Na trybunach Waldstadion we Frankfurcie nad Menem było bodaj więcej Szkotów i Brazylijczyków niż przedstawicieli innych narodowości. Reagowali bardzo gorąco. Lepszą kondycję — tak samo jak na boisku — wykazali Szkoci, ale sądzę, że bardzo pomogła im w tym whisky... Szczęśliwie skończyło się bez większych ekscesów, mimo że na boisku arbiter, Holender Van Gemmer miał pełne ręce roboty i zmuszony był dwa razy wyciągać żółte kartki dla Rivelino i Marinho.

M. SZYMKOWIAK

POPIS TECHNIKI I DESTRUKCJI

GOSPODARZE X Mistrzostw Świata żartowali mówiąc o meczu naszych głównych rywali z IV grupy, że dla Włochów będzie to „Heimspiel". Rzeczywiście, mimo że mecz ten odbywał się w Stuttgarcie, zespół Valcareggiego grał niemal przy własnej widowni. Odnosiło się wrażenie, że jesteśmy w Rzymie, Mediolanie lub w Turynie. Tysiące chorągiewek o czerwono-biało-zielonych barwach, bezustanne okrzyki „Forza Italia". Potężny doping niewiele jednak pomógł. Na boisku wyraźnie dominowali Argentyńczycy, a na trybunach coraz częściej dawała o sobie znać nieliczna grupka kibiców zza oceanu.

Nie ulega wątpliwości, że w dniu 19 czerwca znacznie lepszym zespołem była Argentyna. Górowała ona nad wicemistrzami świata szybkością, wspaniałą, zapierającą dech techniką, bajecznymi wprost zwodami. Ayala, Babington, Houseman, Heredia zademonstrowali najwyższą piłkarską wirtuozerię. Słynne asy włoskiego „Calcio" były ośmieszane w sposób wprost niemiłosierny. Bardzo często tylko faulami ratowali się Włosi przed utratą bramki.

Drużyna włoska jest dobrze zorganizowana, bardzo trudno ją sforsować. Jej sposób gry, choć nieefektowny, jest jednak bardzo skuteczny. Tym razem jednak indywidualne krycie (każdy swego) stosowane przez Włochów wyraźnie odpowiadało dryblerom z Południowej Ameryki. W środku pola przewaga Argentyńczyków była wprost zdumiewająca. Gorzej było z wykańczaniem akcji i ze strzałami. Inna sprawa, że kilkakrotnie wspaniałe interwencje Dino Zoffa zapobiegły niechybnej, wydawałoby się, utracie bramki. Mimo tych wszystkich zastrzeżeń nie ulega wątpliwości, że gdyby nie pechowa, samobójcza bramka Perfumo, nie wiadomo jakim rezultatem zakończyłoby się to spotkanie. Raczej zwycięstwem Argentyńczyków...

Ataki zespołu trenera Valcareggiego były sporadyczne. Wyprowadzono je stosunkowo wolno. Na palcach jednej ręki można było policzyć szybkie kontruderzenia. Na ogół obserwowaliśmy dość schematyczne ataki pozycyjne. Niemniej po jednej z takich akcji świetnie i niezwykle fair grający Sandro Mazzola znalazł się z piłką przed Carnevalim i strzelił tuż obok słupka. Tak więc niewiele brakowało, aby mimo wyraźnej przewagi Argentyńczyków mecz zakończył się ich przegraną. Włoski, specyficzny, „usypiający" sposób gry mimo pozorów jest bardzo niebezpieczny, nieprzyjemny dla przeciwnika, którego łatwo może wprowadzić w błąd.

Riva dał kilka razy próbę swych zdolności — przebojowca i strzelca. Anastasi był niewidoczny. Dziennikarze i kibice z Półwyspu Apenińskiego żałowali, że nie grał Chinaglia, którego nie było nawet na ławce rezerwowych. Wyróżniającą się postacią środkowej linii był niewątpliwie Benetti. Piłkarz wszechstronny, twardy i zdecydowany; grał jednak brutalnie, za co otrzymał żółtą kartkę. Zawiódł oczekiwania Rivera. Miał chyba wyjątkowo kiepski dzień. Podobnie zresztą w przeciwnych szeregach było z królem strzelców lig europejskich, Argentyńczykiem Yazalde.

Siedzący obok mnie dziennikarz holenderski określił ten mecz lapidarnie: **WSPANIAŁY POPIS TECHNIKI I ARTYSTYCZNEJ INWENCJI POŁUDNIOWYCH AMERYKANÓW ORAZ BUDZĄCY WSTRĘT I ODRAZĘ POPIS DESTRUKCJI I FAULI ZE STRONY WŁOCHÓW.**

Obydwa zespoły nie poszły w ślad za ogólnymi kierunkami i prądami, jakie widzimy na X Mistrzostwach Świata. Nie stosują totalnego, agresywnego futbolu, jak Holandia, Jugosławia, RFN. Ich pressing jest mniej ścisły. Pozwala rywalom na dość swobodne poruszanie się, przynajmniej w odległości około 30 metrów od własnej bramki. Można jednak zaobserwować dużą wszechstronność zawodników. Na przykład Mazzola do przerwy grał na pozycji lekko cofniętego prawoskrzydłowego, a w drugiej części spotkania widzieliśmy go w roli środkowego linii pomocy. Podobnie miała się rzecz z uniwersalnym Heredią, który z olbrzymim powodzeniem grał w każdej formacji.

W każdym razie mecz wykazał ile naprawdę jak dużo, warta jest Argentyna oraz jak trudnym, choć może mało efektownym rywalem są Włochy.

MIECZYSŁAW SZYMKOWIAK

BRAWO, KIBICE!

Naszym piłkarzom towarzyszy podczas każdego meczu wycieczka Juventuru. Kibice z Polski starają się, aby było ich widać i słychać na stadionie, a że robią to dobrze, więc zawodnicy dziękują im za skuteczny doping. (g)

MILIONER SIĘ CIESZY

Edward J. Fiszek, amerykański milioner polskiego pochodzenia, jest zapalonym kibicem naszego zespołu. Po meczu z Argentyną przyjechał do Murrhardt odwiedzić ekipę. Po zwycięstwie nad Haiti natychmiast spotkał się z drużyną, aby osobiście pogratulować sukcesu i zachęcić do walki o medal.

— Pamiętajcie — świat najlepiej widzi tych, którzy zajmują pierwsze miejsce! — powiedział zawodnikom. (g)

7